

III epv.

11



Nv 668 ; Anu.
1

PRZYCZYNY DEWIAŃSI PIJANCI DO SEWERYNA

Pierwszy rok 1945-ty. Koniec wojny, odczuwająca radość z odzyskanej wolności. Osobiste i rodzinne troski jakoby chwilowo znikają wobec wszechogarniającego spokoju i myśli, że można już być normalnie, a raczej, że można je planować i organizować bez ciągłego, trwałowego pytania, co jutro przyniesie nowego, starannego ???

Najprzeródniejszą wiadomości kryją się i krąży wśród młodszych, czasem jedne drugą zaprzeczają. Ale jedna z nich dominuje: pogoda, wiosni przyszłości. To wiadomość o rozszerzeniu granic kraju na zachód i północ, to powrót ziem Miastowskich do Nacierzy, to ogromny zryw całego narodu do objęcia tych pustych, zniszczonych pozostałości wojenną teraźniejszością, to wreszcie spontaniczna wprost chęć społeczeństwa do całunienia las i zagospodarowania.

Przed każdą indywidualną Polakiem rysuje się ogromna możliwość zorganizowania własnego, nowego życia na nowo, od podstaw,

w zaleśnionych warunkach, jakże męczących, szczególnie tych, którzy nie nie mają, bo tylko pracą własnych rąk i sił mogą zarobić na utrzymanie swoje i rodziny.

Do tej liczby ludzi należam się i ja.

Blasze nie skorzystał z jednej i niepowtarzalnej szansy? Takie i tym podobne myśli nurtują mnie od chwili bezwzględnej kaptualogji Niemiec w dniu 9 maja 1945 roku.

Jestem nauczycielką na skromnej placówce w 7-iej Klasowej szkole powszechnej pod Żarnowem. Ale przecież mimo bardzo nie sprzyjających okoliczności, kontynuowałam prywatnie cztery lata nauki w zakresie zmykologii, przygotowując się jako ekstern do egzaminu państwowego, uprawniającego do uczenia w szkołach średnich.

Cel nie został osiągnięty, bo warunki życia i pracy stawiły przede mną trudności wprost nie do przebycia. A ogólnie panujące w Polsce międzywojennej bezrobocie kasalo baczenie strzec się przed utratą raz zajętego stanowiska w społeczeństwie.

Leżenie szpitala ni raz i ja znalazł na lepsze wiosną 1939 roku, a jak wrzasiał tegoż roku pogrzebał całkowicie myśli o dokształceniu studiów.

Wojna i długotrwała okupacja gruntownie osłabiły moje plany życiowe. Jakiś ojca, opieką nad osierowioną starszą matką i nieletnią siostrą sprawiła, że tym bardziej nie mogłam poważnie myśleć o realizacji własnych zainteresowań intelektualnych i artystycznych.

Teraz stoję przed możliwością tej realizacji ! Otrzymałam bowiem list z Salsocina od znajomych pp. [REDAKTOR], którzy jako Polacy wysiedleni byli brutalnie z Poznania i Gniezna do tzw. Generalnej Guberni i po zakończeniu działań wojennych na znacznych terenach, wrócili do swoich rodzinnych stron.

Z listu wynikało, że perspektywa osiedlenia się w portowym mieście jest tak kłopotliwa, iż warto ponieść trud pierwszych

tygodni czy nawet miesięcy pobytu w zimozimnym, ale już polskim Szczecinie.

Równocześnie znajdują się w liście konkretna propozycja przyjazdu do Szczecina i pomocy w urządzeniu się tam wraz z pozostałą najbliższą rodziną.

Krótką debatę z matką i siostrą na temat - jechać czy nie jechać ??? Czasy są jeszcze niepokojne, ogólna wędrowną ludzi z miejsca na miejsce, daleka droga, właściwie w nieznaną! Co tam nas czeka? Jaki los? List zachęca, nawet bardzo - starość nieufność i rozmowa matki hamuje zapal i kase zastanowid się nad wszystkimi argumentami "tak" i "nie" Przeważają argumenty "tak". Decydują się na wyjazd.

POMOĆ DO WYJAZDU NA WYJAZD

Akcja osiedlenia ziem Zachodnich i Północnych przeprowadzona była we wszystkich miastach i miasteczkach województwa centralnych. Co tam o kartę repatriacyjną w Baranowie było bardzo trudno. Związane z tym wszystkie formalności zakończono mi w ciągu kilku godzin a zwolnienie z pracy w szkole w Mankim Kościelnym pod Baranowem/ziem Zachód/ otrzymano po zakończeniu roku szkolnego.

Nał, tam ostatnie dni styczniowego i gorącego czerwca, kiedy wybierali się sama w daleką podróż, a znajomi i nieznanymi odrazili mi na wszelkie możliwe sposoby ten wyjazd. Był to było tym ludzian, siedziła z dawien dawna, przesuwał wielką i historyczną wagę, jak najważniejszego zadania odprawy ziom przez ludzi różnych zawodów, w których oświata i szkolnictwo odgrywa niebagatelne role.

Dopiero na dworcu w Baranowie znalazł sobie sprawy z tego, w jakich warunkach przyjdzie mi jechać na drugi koniec Polski.

Kilkanaście wagonów towarowych - przeważnie otwartych łaz, wypełnionych drobnicą lub węglem, "oblepionych" dosłownie ludźmi z tobołkami, koszykami i walizkami - stało na torze. Upłynęło wiele czasu zanim dojechał parowóz, który z gwizdem i sykaniem pary ruszył w stronę Krakowa. Na trakcie nabrali rozmachu, ale później coraz częściej przystawał albo był przesłanowany na boczne tory, aby przepuścić liczne transporty wojakowe, które albo wracały z Berlina, Lipska czy Drezna albo dowoziły różne materiały potrzebne stacjonującej tam jednostce w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Szła już wiele wrażeń z tej podróży zataczać się w pamięci, ale wspominać to chciało jako przystępnie ciekawe, barwnie choć bardzo nudzące, bo trwające okrągło tydzień czasu. Utkwiły mi w pamięci obrazy mijanych exilic coraz bardziej wyludnionych i zmieszanych w miarę jak zbliżał się do celu podróży.

Nie dajnego - mówiłam sobie - są to zmieszania na skutek działań wojennych. Mnie to jakoś śmiało i ciężko mi było na duszy, gdy pomyślałam, co mnie tam czeka? Jak przystąpię być w takim opustoszałym, w gruzach będącym mieście? Do różnych wersji nasłuchania się od współtowarzyszy podróży o Szczecinie. Okazywało się bowiem, że niektórzy już kilka razy odbyli tę "wycieczkę".

Wiedząc! Karci Polaki przewyżniają się podczas okupacji do malowania czy się dają, jak się dają i gdzie się dają!

Każda ta na myśl ocałowała tę część opustoszałości, która "nie sieje, nie orzą" choć tylko zbiera. I ci właśnie tworzyli ten usjoreny margines życia polskiego na ziemiach odzyskanych. To ci co z kadankiem spirytusu i tytoniu jechali na Pomorze Zachodnie, a - jak się później w Szczecinie przekonałam na własne oczy - wracali objuczeni dywanami perskimi, porcelaną i starą srebrną. Traktowali oni te ziemie jak "polską Kanadę". To też nie dajnego, że straszylili tych, którzy jechali do Szczecina, by pracować, a nie zabierać. Unia na nimi propaganda grozy, niepewności i lęku.

Ala byłam jeszcze na to dość śmiała, aby dać się zastraszyć. Odrobnie, jakiś upór wewnętrzny wzrastał i kazał mi tym przygodnym najmym, tym "poszukiwaczem skutołajanych pól" odpowiadać śmiałością i przekornie. A już wprost zabawiałam się z ich bredni, gdy wyjawiali swoją kilkakrotną podróż do Szczecina - tam i z powrotem. Przeciwnie ich kłótny wygląd, bywało karki i krwiste policzki zadawały kłam oskarżeniom i białoleniom. Skoro tak niebezpiecznie było to dla czego oni są żywi i cali i jedzą po kilka razy? Wiedzenie tak nie jest, jak to w zabarwionych strachach opowiadaniach się przedstawia!

Tak to wdrując śnieg i nocą znalazłam się pewnego dnia na dużej stacji, zatłoczonej wojskiem różnych formacji i ludnością cywilną. Dworzec prawie cały w gruzach. Cudem jakimś ocalał kawałek muru z dużym czarnym napisem Altium. Myślałam w pierwszej chwili, że to już Szczecin. Z ciekawości roglądałam się dookoła po wyjściu na peron celu rozprostowania kości. Była to jednak tylko stacja Altium obecnie Dąbie.

Po dłuższym postoju ruszyliśmy dalej. W pociągu świeże wiadomości-plotki. Rozszerzają się lotem błyskawicy, nie wiadomo, czy dojeżdżamy całe? Mosty na Odrze spalone, jest podobno jeden z nich wojskowy, pontonowy - ale czy to taki most pewny? Może się rozwarł i co wtedy? Pociąg znalazł się w nartach rzeki. Podobno już tak się, kilka dni temu zdarzyło! Wśród ludzi determinacja - co będzie to będzie, nie opuszczają pociągu.

Sbliżamy się do brzegów smarej watałki wody. Dajana usmiecie male ogarnia. Oto rzeka, o której niegdyś czytałam w powieściach historycznych - rzeka "władca wielu boje i potyczek drużyn polskich z rycerstwem świętego cesarstwa rzymsko-niemieckiego. Wzruszenie "ciężka na gardło. Jesteśmy żywi, którzy Odrę biorą w posiadanie. Odrę to już polska rzeka - rzeka pokoju.... To nie, że głód dokucza, że znaczenie wola z odg. Jak dobrze jechać tam, gdzie prosz

wielki czołowy "Brąg nach Osten" Jazak się, we wnętrzu spokojnej, rolniczej ludności stowiańskiej.

Z uwagą wpatrują się w dół. Pociąg hamuje wolno, w końcu z wjeżdża na most. Budni i drzy most pantofony pod stalowym wykładem, ale trzymają się godnie, spokojnie i pewnie.

Z dala ukazują się zarysy miasta. Pociąg zatrzyma się w głębokim jarku. Z głębi suchych wagonów byłych i z łor węglo- wych poczły wyskakiwać na tor zające i brudne postacie.

Oto Schuna /Luninice/, to ostatnia stacja na przedmieściu Szczecina, bo do zniszczonego dworca pociągi nie dochodzą. Podobno kiedy transport bywa sgrabiony, podobne gromyżę naradzają- postroch wszystkich udających się koleją do Szczecina!

Na skarp, wozu poczły wdrapywać się coraz liczniejsze gru- pki, obciążone bagażem, wychodząc na piase, lipeowe słońce. Na ho- ryzontie mieniła się szarozielona panorama Szczecina - cała swojej kru- głej drogi.

W jednej z tych grup znalazłam się i ja ze skromną swoją walizką i podążałam za innymi drogą do miasta, w którym miałam znaleźć miejsce dla siebie i swoich najbliższych.

Z ciekawości rozglądałam się po rozległym polu z szeregiem przycupniętych w głębi domów z ogródkami, pełnymi kwiatów, cime- stów i jarków - domów opustoszałych i cichych. Widać je i we- zebrał w jakim ulisku, a następnie w szeroki trakt oświetlony wyso- kimi drzewami, słońce się, że płatanami. Była to - jak się póź- niej dowiedziałam - jedna z głównych ulic miasta, B [redacted] /nazwana obecnie A [redacted]/. Wytrwałe po niej podążałam do nie- znanego miśch unajomnych, którzy właśnie przy tej ulicy mieszkali.

Mijałam po drodze sterty grusze, śniegi, starych potłuczonych mebli i innych urzędów mieszkalnych, które na wysokości kilku me- trów tworzyły szerokie wały, zajmujące całą szerokość środkowego pola arterii. Widać było z okien powiewały białosrebrne

onorowiczy - ślady polskiego życia w tym mieście. Ale daleko więcej wisiało z okien białych flag na praskim szwarcu wypisanym na wypalonych deskach w zniekształconym języku - "Wir Kapitalisten nie."

Jakieś dziwne uczucie rzeź radości przesnikało mnie, gdy pomyślałem, że dziejowa sprawiedliwość dosięgnęła wreszcie tego narodu panów, że ich miasta wyglądają podobnie jak nasze w pierwszych dniach 1939 roku.

Ale nie czas teraz na wesołki. Teraz, za chwilę spotkam się z przyjacielami i dowiem się, jak tu żyje i mieszka ta garstka Polaków, która płaconie podjęła trud ocalenia i zaczęła budować nowe życie od nowa.

PIERWSZY WIDOK W SZCZECINIE

Znalazłem się w Łańcu, kilkupokojowym mieszkaniu na którymś tam piętrze. Po pierwszych okrzykach radości ze spotkania i przywitaniach więcej niż serdecznych, ukazało mi się wygołębione słońce poduszek i nieco gorącego lata, przykryte dużą pierzyną. A wszystko to z wielkiej troskliwością, abym gwałtownie wycofała się z męczącej podróży. Spałem chyba dość długo, bo obudziłem się dopiero po południu następnego dnia. W pierwszej chwili nie pamiętałem bardzo jasno zdarzeń sobie sprawy, gdzie jestem i co robię w obcym, nieznanym mi mieszkaniu, ale gdy zobaczyłem nad sobą uśmiechnięte twarze rodziców - Zygmunt i Zdzisław - momentalnie zorientowałem się, że jestem w dalekim Szczecinie.

I tak zaczęły się kilkudniowe rozmowy o wszystkim. Nie miałem wiele do opowiadania, bo u nas w krakowskim nie specjalnie ciekawego, przynajmniej na razie, nie działo się. Ale za to, byłem choim w wszelkich wiadomościach o Szczecinie, a szczególnie o tym, jak to tam było na początku, bo przyjechałem akuratnie w dniu 5 lipca tj. w dniu ostatecznego przekazania miasta władzom polskim. A oto

jak w relacji Łuciszawy 7, wyglądały pierwsze dni pobytu Polaków
Dymaj, - ... "W końcu nasza szeregowa się wzięła z naszą rodziną
w Poznaniu. zastanawialiśmy się co robić - gdzie pracować? Przes
Poznań, a głównie ulicą Dąbrowskiego ciągnie wojsko spod Berlina.
Noc i czasu nie do opamiętania. Polaki, Związek Zachodni zaczęła do
wyjazdu na Zachód i po krótkiej naradzie z bratem ruszamy do Szczeci-
na. Przyjeżdżaliśmy tam 13 czerwca. Po tych kilku dniach wychodzi
do Sopotu /Gumieniec/ prezydent miasta Szrenba i prowadzi nas pła-
szą przez Barnimstrasse /Al. Piastów/ do gmachu obecnej "polskiej"
Rady Narodowej na ul. Główną i tu w piwnicach otrzymujemy zakwatero-
wanie, a stołki; mieliśmy w gmachu PWS-a przy obecnej ul. Kato-
polskiej. Z miejsca byłam oskarżona "szwedzina".

Z dalszych opowiadań relacji [redacted] dowiadujemy się o
losach Polaków w ciągu trzech ostatnich tygodni do uroczystej chw-
li tj. do 5 lipca.

Początkowo panował cały rozgardiasz - ludzie wprawdzie reje-
strują się, niby otrzymują przydziały do pracy, ale władzowie wzię-
szy ciekawość na oddanie Szczecina, w którym jest jeszcze bardzo
dużo Niemców, opór wojska radzieckiego z komendanturą miasta i tu
mała garstka rodaków. Sp. moja znajoma otrzymuje przydział do orga-
nizującego się Wydziału Zarwania, gdyż ma na sobie praktykę laboran-
tki z czasów okupacji. Pierwszym naczelnikiem tego Wydziału był
dr. [redacted], a cały Wydział mieścił się w jednym pokoju, gdzie
było biurko, apteczka, narzędzia, ale nie było tam nawet gdzie usia-
dać.

Przypadkowo i w innych wydziałach młodej administracji pol-
skiej były takie same okropne warunki bytowania.

Tymczasem gromadki osadników polskich spotyka w dniu 19 czer-
wca nieopóźniona / Prezydent Szrenba dostaje nakaz wycofania
się wraz z ludźmi do Kalisza. Ma pozostać tylko jedna ekipa, 7 osób
licząca, w zajmowanym gmachu i czekać na dalszy rozwój wypadków.

W tej literaturze znajdują się i moi znajomi, którzy za pomocą p. Kochańskiego decydują się na to. Jak spędzili ten czas oczekiwania?

Wracam do wspomnień z [redacted] Puste są te dni, nie ma co robić, czasem wychodziłam przed garaż, patrzyłam na Udrę. Niemcy mają wybudowane baraki drewniane i czekają na wyjazd drogi wodnej. Pewnego dnia nie wyruszyliśmy z bratem i ruszyliśmy do Córki. Pogoda piękna kusi do spacerów. Widać cały teren, interesuje nas wszystko; fabryka, kościół, ogródki działkowe, a w nich porostki, truskawki, kwiaty, wszędzie kwiaty, nie wyrwane od ziemi dnia kwiaty, kolorowy dywan z ozdobianymi barwami. W pewnym momencie stwierdzamy, że teren jest zamieszany. Stanęłam w miejscu i błagam brata, aby wrócił, a on mi skutecznie nie chce, mówi, że chodzi o zdrowie i nie ma się nie stanie, tylko zerwie kilka kwiatów, bo zawsze to będzie w pokoju przyjemniej i nie tak pusto. Powoli cofamy się, bo słońce zaczyna zachodzić i niebezpiecznie wracać późno. Wracam te dni nie mam się do jedzenia - trzy razy a iennie są z nami bez soli, bo tej w Szczecinie nie mają się ani na lekarstwo. Mama mówi, że chleb i proszki, który samochodem wyjechał dla nas prozydent "araba, został zarekwirowany przez wojsko. Dopiero pod koniec czerwca tj. 26 czy 29 wrzesnia a tutaj prozydent niechętnie do Szczecina i może jestoby wrócił swoim."

Opowiadania siostry uzupełnia brat. Dowiaduję się więc, że Szczecin ciągle jeszcze nie ma. Łożniczek siostry władzę radziecką a polską był kapitan Szwedowski, uproszony, grzeszny, ale chyba zmęczony ciągłymi pytaniami Polaków - a co? a jak? a kiedy? Taki stan trwał do 3 lipca. To jest właśnie o mojego przyjaciela!

A więc zaczęło się trochę gorętsze, trochę bardziej opowiadanie obojga o tym, jak to ostatnie przeżycie szczecińskie wyglądało.

Polacy w nocy zaczęli oddawać już od 6-nej rano, pogoda się trochę poprawiła, padał deszcz. Wrzesnie o 11-tej wszyscy wyruszyli

do Landeshansu /dziś Miejska Rada Narodowa przy pl. Dzierżyńskiego/
i że każdy został przydzielony na objęcie poszczególnego stanowiska.
Wydział rewizyjny objął swój majątek [redacted], a sio-
stra jego Zuzanna z jedną z sanitariuszek udała się do Środka
Mirowsa na Misuszowie. Tam została sama z będącym już w komplecie
personalem niemieckim, w którym był tylko jeden autostaw o nazwi-
sku Fock, jedynie ten mógł pojechać. Charakterystyczną sżwi-
skiem była chęć szaryniaków - Niemców, by nawiązać się do pol-
ska. W czasie ich widać było tylko uległość, mały ślad bunt, jak
widniało się z przedstawicieli wyższej rasy w Generalnej Guberni.

Środek Mirowsa kieruje w tym czasie dr [redacted], którym
postawiają równocześnie przejął szpital przy ul. Piotra
Skargi. Są tam jednak na razie choroby ślepy, którzy są się prze-
nieść z lekarzami na oboje. I rzeczywiście po kilku dniach opu-
szcza szpital, ale zabierając ze sobą wszystkie aparaty i narzą-
dka tak, że szpital został dosłownie opuszczony. Wice dr Śniadecki
jechał kilkakrotnie do Berlina i uzupełnia szpital tym, co może
zostać lub kupić.

Do miłośnika zorganizowany Wydział Mirowsa przenosi się do
kuchni przy ul. Zaleskiego na Pogodzie. Organizujący tam Polacy cho-
cą do pracy pisać, komunikacji nie ma żadnej, ale jest piękna
pogoda, a z dyscypliną pracy łatwo, że można też o 3-tą godzinę za-
cząć pracować, więc pracuje się ośmielnie. Po dwóch tygodniach prac-
noszą się do gmachu BBN - to są już na stałe.

Niemcy na razie u sąsiadach. Zbiorem u nich różne "plotki"
o mieście, Polakach, o życiu wśród gruzów i ruin. Mimo to wierzą,
że są to przejściowe trudności po których ustabilizują się warunki
bycia. Nie wierzą, czy to od niemieckiego Bałtyku, czy od bli-
szego Zalewu Szczecińskiego wieje świeży, aromatyczny powiew tak,
że odżywa się swobodnie, pełną pierś. Jest w duszy jakaś, prze-
stronnie i spokojnie mimo, że często słychać się strzelanie, nawet

w biały usiadł, a o awanturę nie trudno. Przewieszony "Jankas" /tylko
ze polski/. Po sobie, knajpki wynastają jak grzyby po deszczu - woj-
sko duże - jest to przecież jeszcze okres gorący, pachnący nieczys-
czym prochem i krwią.

Po kilku dniach odpoczynku wybieram się na poszukiwanie miasta,
szedłby tylko jego najbliższej okolicy - Ardenais. Przeszukuje
miejsce niegdyś szańce, ogromne sterty śmieci, gruzów, gruzów, odpad-
ków, w których od czasu do czasu ktoś coś jeszcze szuka, jakby spodzie-
wał się znaleźć skarb jakiś. Patrząc na te kilkunastomietrowe sterty, za-
stanałem się, kiedy i kto uprzątnie to ramię i przywróci uli-
com ich normalny wygląd. Ciepłe światło nie ma - elektro-
wnie zaparta - druty i instalacje elektryczne w wielu miejscach nar-
wane lub poprzecinane, ale mówi się, wśród naszych, że już jakaś
grupa elektryków pracuje dzień i noc, aby puścić elektryczność w
ruch.

Błąkam się po pustych ulicach, wśród domów wypalonych, w któ-
rych tylko wiatr huła, gdzie niegdzie tylko bezpański płac się
przeskakuje lub bary kot grzeje po stertach śmieci. Chciałbym także
pustka dookoła, nalana światłem słonecznym, nie boję się niczego i w
myślach zapomniałem te ulice gwaru tłumów dzieciaków i młodzieży,
która tu zapewne wkrótce przybędzie. Widzę coraz duszy ulice czy-
ste, jasne, pełne akwapow, w których trochę pełno najprzeróżniej-
szych twórców. Choć gład dookreśla mi coś nieco, widzę jednak pie-
karnie pełne chłopa i smakowitego piwowara. Złudzenie przybiera nie-
kiedy postać realną. Szedłbym już teraz nie śmiało pastora obłą-
kanym tobożkami żywności, bo spełniają oni niecodzienne rolę han-
dlu i zapobiegania nielubianej jasnemu ludności polskiej, choć sta-
le warczącej, gdyż codziennie przychodzi długie podziwianie z oca-
łkami. I gdy byłbym wrotem do tamtych dni, sprzedam w własnych
wspomnieniach ogrom zniszczonych wojennych, tak plastycznie przedsta-
wionych w artykule publikacyjnym Dr K. Górnickiego pt. "Pierwsza

szosocianie" - /Kurier Szczeciński Nr 79 z dn. 5 kwietnia 1940 r. str. 4-5/. Cytuję... "Z Szosocianin w wyniku działań wojennych 60 % zabudowy uległo zniszczeniu. Przemysł metalowy legł w gruzach w 93 %, a przemysł mineralny w 74 %. Pora tym powiecie zostały zniszczone zakłady przemysłu chemicznego i papierniczego"... "Nawet przemysł rolno-spożywczy też w 90 % padł ofiarą wojny. Do najbardziej zniszczonych obiektów należał port. Dotychczas do tego, że nie działał ani handel, ani w ogóle cały system zaopatrzenia miasta... nie było prądu, gazu i wody. Komunikacja wewnątrz miasta praktycznie nie istniała, zniszczone były tory, skłopy i sieć napowietrzna".

Tyle publicysta. A ja odważam się tak zniszczony Szczecin był - ale jednak życiem - ludzie z jaką gorącą energią, z zapłonem się sobie uśmiechali jak najprędzej nadad miasto normalny wygląd. Nikt wtedy nie mobilizował do czynów społecznych, nikt nikogo nie wyróżniał dyplomami ani szklanymi nagrodami przemian, robiono się wszystko jakoś samo ze siebie, spontanicznie.

Szczecin podobał mi się bardzo, jego gwiazdasty układ ulic obiegających się w licznych placach, jego dźwięki, przebiegata roślinność i piękne domki i wille w niezniszczonych partiach miasta.

Po tych długich paraliżujących wydrążkach postanowiłam sobie usnąć, że tu zostanie i spróbować, jak najprędzej najbliższą reakcją matki i rodzeństwa.

WAZNE WIDOKI - ZOBACZENIE WYKAZU MIAST OJAJCZYNA I
WYKAZU MIAST OJAJCZYNA

Najbliższą więc moją czynnością po tygodniowym wycożaniu było zarejestrowanie się w Zarządzie Miejskim m. Szczecina. Do dziś piszący sobie pamiętam ten akt ewidencyjny numer nr 1581. Jeżeli uważać, że dopiero 27 lipca 1945 roku wydano mi ten dokument to chyba miało się w pierwszym trybie osiedlenia polskich, bo każdy dzień poświęcał liczbę przybywców niestanowiących najwyżej

do miasta. Dokument ten wprawdzie wystawiony na starym polsko-
niek papierze, ale na już porządky druk polski /wyra na szkiełku/ co
jak na ówczesny okres oznaczało dobre świadczenie o przynależności
mieszkańca polskości. Zauważano natomiast do mieszkania moich znajo-
mych przy ul. [redacted] /bo wtedy nie było jeszcze polskiego
nazewnictwa dla ulic miasta/. Było to dla mnie i oczywiście i sa-
me przetrwanie. Rozumiał się w pewnym sensie odpowiedzialna za to,
co mi; dzieje w mieście, a równocześnie sama rozprawa mnie z tego
że i ja w skromnym zakresie pracy swoje przyczynię się do odnowie-
nia miasta i przetrwania na charakteru słowiańskiego, polskiego.

Niko nie uregulowanego jeszcze trybu codziennego życia miej-
skiego, uspokoiłam się wreszcie; uświadomiłam sobie bowiem, że
jest to pierwszy krok do stabilizacji, że ode mnie tylko zależy, a-
bym "zadawała" się jak najpręcej w Szopczynie. To też znacząco
zobowiązałam się do pracy w wyznaczeniu pracy i mieszkania. Oczu-
wiłam jako wykwalifikowana nauczycielka z kilkumiesięcznym stażem
w tym zawodzie, nie wyobrażałam sobie innej pracy. Totalnie pierwsze
moje starania skierowałam pod zarządem organizującego się inspektora
z tamtego ul. Wielkopolskiej /nie już nie pamiętam
tam dawnej nazwy niemieckiej/. Ale o tym opowieć nieco później.
Natomiast tu chciałabym wspomnieć o dalszym etapie stabilizacji tj.
o uzyskaniu własnego mieszkania.

Mieszkałam wówczas było w bród, bo miasto duże, a ludności w
stosunku do jego obszaru, mała gęstość. A więc wybór był ograniczony.
Zamieszkałam miasto bardzo blisko do wsi w jednorodzinnej małej willi
na dzisiejszym pogodzie. Propozycja - nie postać - kuzynka, ale
miała swoje ujemne strony. Zauważyłam sobie, że p. mieszkanie takie
będzie dla trojga osób na obszarze /całkiem, ja i siostra/. Nie wie-
działam jeszcze na pewno, czy brat zgodzi się na osiedlenie z
dalekiego województwa krakowskiego. Poza tym na terenie Pogodna
stały wówczas liczne farmacje wojenne, opróżnione przez wycofane

zkiego pochodu na Berlin, a aura wojenna nie sprzyjała ciszy i spokojowi. Dość często słyszano było strzelanie. Pewnie, że w większości były to strzały na wiatr, z jakimś upojoną radością, że już po wojnie, że wraca się do rodzinnych stron, ale grzmiające kule nie pytały o cel i zabijały powrót przyniesiół niebezpieczeństwo niebezpieczeństwa. A że komunikacja Pogońna ze środowiskiem odbywała się "per pedes apostolorum", więc nie udało nam się, tak daleko /w bezsensownym pojuciu/ szukać mieszkania.

Do paru tygodniach znajomy mój p. [REDAKTOR] zawiadomiał mnie, że ma dla mnie przystałość na 4-ty pokojowe mieszkanie w środowisku. Przy tym doświadczyłem się, że nie wiadomo, co się w tym mieszkaniu znajduje, ale na pewno jest instrument muzyczny /piano/ o co mi najbardziej chodziło, gdyż własny instrument daleko na wsi podkrakowskiej i o sprzedaniu go nie ma w najbliższej przyszłości mowy, a przecież wciąż myślałem o kontynuowaniu studiów muzycznych, jak tylko ku temu zaistnieją odpowiednie warunki.

Z radością przyjęłem tę nowinę, bo to i własny kąt i możliwość przystąpienia do mieszkania /po raz pierwszy w życiu miałem otrzymane takie obywatelskie pomieszczenie/ no i miejsce dla tych dwóch najbliższych osób, jakie postawili tam daleko w oczekiwaniu i niepewności, a przecież dla których już tyle poświęciłem ze swego życia.

I wreszcie otrzymałem drugi już teraz dokument polski w polskim środowisku z datą 14 sierpnia 1945 roku z l. dz. 3451/45 w trójjęzycznym brzmieniu; polskim, rosyjskim i niemieckim. Na mocy tej decyzji uzyskałem prawo zajęcia mieszkania przy [REDAKTOR].

Moja radość okazała się krótką. Mieszkanie to bowiem prawie natychmiast zajęł jakiś urzędnik przedstawicielstwa Ministerstwa Informatyki i Propagandy, który nie tylko, że nie oddał kluczy do mieszkania, ale jeszcze odgrażał się, że jeśli odejdę od tam

zamieszkać, to wysłać mnie "na biało niedowiedzie". Mimo, że fizycznie oceniłam się już wtedy bardzo źle /o czym będzie mowa później/ to jednak energicznie przeciwstawiłam się, jemu, a o opiekę udałam się do Komendy Milicji Obywatelskiej, której wydziałnik, wtedy porucznik, otworzył przesłaną wraz ze mną mieszkanie, przybił mi drzwiach moją macinację, prawonocną i z piszącej prezydenta miasta. Postarał się nawet o ścierobienie klucza dla mnie do nowego, tymczasowego mieszkania. Dział nie pomyślał nawet, jak wyglądał ani jak się nazywał ów porucznik, ale sawona z wielką wdzięcznością wspominał go i z radością tłumaczył, że w tym pierwszym okresie powojennego chaosu już tak sprawnie i sprawiedliwie działała władza ludowa. Były to prawdziwe początki stabilizacji życia w mieście. Do sprawy tego mieszkania wrócić jeszcze, aby dać wyobrażenie stosunków panujących wówczas.

WSPOMNIENIA ZARADKOWANIA

Jak już wspominałam, swoje pierwsze kroki w sprawie pracy skierowałam do Inspektoratu Szkolnego. Ale nie był to jedyny sposób zatrudnienia. W warunkach organizowania się miasta na nowo, od podstaw, przy ścisłej jeszcze małej liczbie mieszkańców - bardzo było łatwo o jakąkolwiek pracę, umysłową. Ludzie z pełnym wykształceniem byli przyjmowani z otwartymi rękoma, bo w takiej sytuacji kulturalnej, jaka wtedy przedstawiało Pomorze Zachodnie, każdy człowiek po naturze, do tego z kilkuletnią stażem pracy w administracji państwowej, liczył się na równym stopniu. Nie wystarczała już na potrzeby miasta ta pierwsza ekipa pionierów, przybyła z Poznania, o czym wspomina Dr K. Golezowski w swoim artykule "Harosiny miasta" /Kurier Szczeciński Nr 73 z dn. 5 kwietnia 1970 str. 4-5/. Jak wynika z jego publikacji - zachowanych 19 wykładów - list obejmujące nazwiska prawie 650 uczestników z podaniem ich wieku, zawodu. Byli to ludzie w pełni przygotowani zawodowo do

pracy i doświadczeni życiowo, bo granica ich wieku wahała się między 25 a 45 rokiem życia.

Nieco to okres bardziej swobodniejszy niż zakres obowiązków przekraczał możliwości tych ludzi, więc każdy z napływającej masy wciąż fali ludzkiej legitymujący się odpowiednimi dokumentami, bez trudu miał kilka posad do wyboru. A więc i mnie proponowano kilkakrotnie posadę sekretarki, referentki, nawet kierownika biura. Ale wierna po ostatnim swemu zawodowi, bo bez szkoły i uczenia nie wyobrażałam sobie wstąpienia życia. To nie, że szkół jeszcze nie ma, to nie, że każdy nauczycielskiej równieś. Za pewno byłam i jedno i drugie. Wśród ocenianych budynków znajdują się pomieszczenia dla szkielety, a ich, tych do udzielenia nauki też zapewne nie braknie. Zresztą słyszałam, że już organizuje się pierwszy urząd tj. Inspektorat Szkolny.

Sam też się ucieszyłam.

MOJA PIERWSZA PRACA

W kilku ciemnych pokojach na parterze okazałej kamienicy narożnej, jednej prawie ocalonej na tej ulicy w przedmieściu kilkunast metrów - znajdowały się w owym czasie Inspektorat Szkolny. Trudno to nazwać było biura - pokoje nawalone gwałtem dopiero były w trakcie oczyszczenia, nablowania i nadawania im jakiegoś takiego wyglądu urzędowego.

Była to połowa lipca 1949 roku. Skłoczona, stale otrzymująca się pogoda nastrojała optymistycznie, więc choć nieco przetrzęta byłam - isokiem otoczu - nasłójmy to - "nabelków" - odnowić nabrałam się do pracy, tym bardziej, że mój pierwszy przełożony w Szkołach nie spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Był to, dalek już od 2 lat nieżyjący [REDAKTOWANE]. Wysoki, przystojny, z lekka niewypan. Przejął

nie z ogromną, serdeczną uprzejmością i z niejęmą satysfakcją, że aż do uruchomienia pierwszej szkoły, ponownie w biurze Inspektoratu na stanowisku referendarza. Wynagrodzenie jemu nie opłacano, a i jego wypłata w najbliższych zarządkach. Ale to ni nie przeszkadzało. Kazyści w ten sposób pracowali, nie myśląc o pieniądzu, a o konkretnej pracy, aby tylko jak najprędzej szkoła uzyskała wygląd normalnego miasta.

Zaczęli się od wynoszenia niepotrzebnych mebli, niezasadniczo gróbów - następnie na ustawianiu szaf, biurzek zdobytych przez inspektora Zacharowskiego wiadomo tylko jego sposobem. Po tym pozostało jeszcze nabierać pracownego oblicza. Głównie jakimś wykuźlowanym starem ponizniczym aktywnym do pisania szkoły ni do wypisywania różnego rodzaju pism, których z dnia na dzień przybywało.

I czterech pierwszych pedagogów państwa młodziutki Pyskiewicz i kol. Szkoły. Przechyli lata starczy w państwie nazwiska pierwszej kadencji sanatoryjnej w Szamotach, choć wtedy nie było to bardzo dobre. Całkowicie wzięty jedną wielką rodziną. Wziął się, oczywiście każdy kawałek chleba czy garstkę ziemniaków.

Wzięto, że trzeba to było dla urzędowania w Inspektoracie na Wielkopolskiej/nie państwie starej ponizniczej nazwy/. Brak było podstawowych warunków, jakie jest np. Światła. O 100 metrów od naszego biura była kucnia jakiejś formacji wojska radzieckiego, która miała instalacje elektryczne - a u nas było ciemno. A przecież czasem trzeba było pracować wieczorami, potrzebny był jakiś sposób, gdzieś gdzieś goziniami przyjeżdżały transporty w których smajlowali się nowi wojskowi czy kucnie, zgłaszający się potem do Inspektoratu Szkolnego i trzeba było im zapewnić jakiś prowizoryczny nocleg.

Styczeń n.i.e. moim obowiązkiem - wzięto się jeden z naczelnych tj. przypisać sprawę założenia instalacji elektrycznej

przez naszych elektryków z elektrowni miejskiej. Pierwszym jej dyrektorem był bosażak ob. [REDAKTOR], mobilizowany oficer naszego wojska. Dwałł się i troił, żeby opocstać swoim zastanion. A nie łatwa to była sprawa, bo i brak materiału, a i często brak za radności z prawdziwego zdarzenia.

Zamiatam swoje kilkakrotnie wtedy wyjeżdżać do elektrowni, przy zniżającej ul. Jacka Malczewskiego. Waga to była dla mnie droga wśród ruin i psutki zalanej tylko słabym prądowym niewielko-
siennie, bo byłem już wtedy bardzo chora i a dnia na dzień się mi ubywało. Spływały mi potworne bóle bóle i wszystkich wytraco-
ści przy suchym uporczywym kaszlu.

Nie zdawałam sobie przez długie tygodnie sprawy z tego, że padłam ofiarą epidemii duru brzusznego, który szalał wówczas w Szczecinie i niszczył obfity plon bez względu na narodowość polską, rosyjską czy niemiecką, choć to ostatnią najbardziej prześladował.

A zaczęło się to tak wyjątkowo, po prostu!

Przebiegano nas sprawicie przed pięćdziesiątą rokiem, obaj-
tanie z krawca czy staj ien, których wtedy było wiele czynnych, ale
niekt tego jakoś powadnie nie traktował dopóki nie rozszalał się po
mieście wieść, że kilkadziesiąt osób zaliczając usiłowa na tyfus bru-
zowy, szczególnie wśród wygłodzonych Niemców. Oczywiście pilnie
wspierany wodę przegotowaną, najczęściej jako słodką herbatę rumian-
kową, bo innej w tym czasie w Szczecinie nie było, przynajmniej
w kręgu znajomych i najbliższych współpracowników.

Było to późnego ranka, w drugiej połowie lipca, kiedy już od
szeregu dni pracowałam w inspektoracie Szkolnym. Spieczyłam się
bardzo do biura - nie pamiętam już dnia - jakie to ważne sprawy
oczekiwały na mnie do załatwienia, a tu jak na szkodę rozboleła mnie
ogromnie głowa - coś w rodzaju napadu migreny. Chcąc sobie pomóc
w cierpieniu, bez namysłu wziłam kilka proszków przeciwbólowych
i popijam wodą z krawca /niezależnie wtedy jeszcze z znajomymi przy

Darniastrasse 66/napominając zupełnie o wszelkich przeciwnościach
związanych z wodą pitną. Miał zmniejszyć się powoli, pozostało tylko
otępienie jak zwykle po tego rodzaju specjalnych farmaceutycznych
- przebiegła szybko przeszedł do siebie od Wielkopolski, a
tam pogrążona w pracy, zapomniawszy o wszystkim, choć po kilku go-
dzinach zaczęła się czuć niewyraźnie, a po południu nastąpił pier-
wszy atak bólu, po nim zaś następne. Wyłatała początkowo, że to o
głodu, że również to bywało z wykrywaniem w początkowym okresie ty-
cia pionierskiego.

Zaczęło mi się wstawać do pracy sposobami i sposobami o sil-
nych dawkach rozmaitych narkotyków. Na nieoczekiwane środki działały
najpięknie na przebieg kilku godzin. Nikt z nas nie zorientował się
w charakterze choroby. I tak się walił anestetyk, pracowałam nor-
malnie, co prawda, że czułam skracanie się z bólu, ale za żadną
cenę nie zwalniałam się, połowy i przerwałam choćby na jeden dzień pra-
cy. Przeciwnie! Tymczasem sobie dodatkowo spotęgowane najpóźniej w
godzinach wolnych od pracy.

Dziś, tam jeden taki dzień, gdy już raz z kądzieli którejś szkie-
do elektrowni w sprawie ciągle jeszcze nie zakończonego światła. Dro-
ga ta niestety nie była bez końca długa i nie osiągnięta, a czasem wie-
kiem.

A tak za atakiem nęczył osłabiony organizm, kładła ręką wy-
palonego domu była chwilową przystankiem, wiadomo w jakim celu. Przy
sobie nie miałam już żadnego narkotyku, bo sążniste dawki zostały je-
szcze w biurze. Do dziś nie wiem, jak dotarłam wreszcie do elektro-
wni. Wiem tylko, że właśnie w tym dniu zakończyłam wszystkie powyż-
sze. Po prostu, choć właśnie wracałam z wiadomością, że za kilka
dni będzie ugrzane światło. Ale droga powrotna daleko jeszcze
wiecej trudu mi kosztowała - w domu straciłam na to odpoczącie
dobrych kilku godzin. W biurze nie sławo sobie sprawy do staru
tego świata, bo kryłam jak mogłam przed wszystkimi najgorsze

atki bólu, akartac się jedynie na ciągły ból i szum w głowie. A moje przyzwyczajenie skatowania spraw na mieście pozorowane w różny sposób. Jak należy byliśmy ignorancjami w tych rzeczach może postu-
dyć inny fakt z innego dnia. Już w pierwszym polowie sierpnia 45 r., zaczęły organizować się różne stowarzyszenia n.in. Liga Morska, kti-
rej pierwsza siedziba mieściła się przy obecnej Alci Wojaka Polakie-
go, w siliwym pałacyku, tak było willi, gdzie dzisiaj jest Polakie
Radio. Jeśli się nie myli to obecnie zajmie ten pałacyk Komitet
Miejski PZRM.

Na ławce nie znajdujemy braku udziału w podobnych zebraniach
organizującego się Zarządu M. Kasztana - jakby to było dziś - je-
dne takie zebranie! Demonstracyjnie w nim kilkadziesiąt osób, wśród
których znajdował się jakiś lekarz wojskowy. Skonstatałem z okazji
i opowiedziałem mi o swoich dolegliwościach prosząc o poradę. Po-
patrzył na mnie przeciągle i... otrzymałem taką odpowiedź: "bóle
klatki, to pewnie nieżyty kieszek ze złego odżywiania, a kaszel zwi-
astuje chroniczny bronchit. Ale masz dla pani jedną dobrą radę - po-
sód na wszystkie choroby". - Jakże? - przerwałem mi w nadziei, że
mi przepiśże skuteczne lekarstwo. Na to z czarującą uśmiechem odpo-
wiedział elegancki lekarz: - "najlepsze to aspiryna, pierxyna i
cystoparyna." - Zaniesiwiłem z wrażenia, na taką beztroską poradę
lekarzką - nie wiedząc wcale, że rozmawiam z wotaryarzem wojsko-
wym. To odd. Przepadli choiż po ludzian. Szykan kartac to nieby-
wała porady lekarskiej i w dalszym ciągu nakładującą opiekę domo-
wej, awerszias się ogromnie walcząc o coraz bardziej postępującą
chorobę.

Mnie nieco przydykuję opisuj ten fakt, ale zamierzam on zasadni-
cie na późniejszym trym, a poza tym jest to pewnego rodzaju ilu-
stracja warunków, w jakich żyło się i pracowało w tych "pionier-
skich czasach".

Taki stan trwał kilka tygodni. Doraz bardziej uciążliwym, a

udał się do Brazylii, gdzie w bankach pracowali swoje oszczędności
i turyści z jego wykładów, nie dostrzegając stabilności marki
niemieckiej. A wobec tego, co się działo w Niemczech, nie chcieli
zostać w "Kamienicy". Byli bez partycji.

W Kamienicy, oprócz nich, były inżynier, mieszkał na
tam samym piętrem co ja, i na parterze restauratora z rodziną, po-
wołanego na z [redacted] - nikogo więcej nie było. Tylko wiatr hu-
lał po opustoszałych mieszkaniach wciągając się poprzez uszkodzony
do przeloty szachy piętrowej kamienicy i dach równie uszkodzonych
oficyna.

Niestety bezpieczeństwo było w tym czasie niebezpieczne w takiej kamienicy,
tym bardziej, że dużo osób było kręciło się po klatkach schodo-
wych, przemawiało podążających do mieszkania Niemki na prośbę tego
mieszkania. Byli to wszyscy w tym czasie w silnym wieku. Ale zajęta
praca i choroba nie wracała poszczególnym osobom na to towa-
rzystwo odwołujące tak często samotną starą naukowiczkę Niemkę.
Kopiaro znacznie później, już po powrocie do szpitala, po pewnej
określenie czasu, kiedy nie mogła wyjechać tam gdzie Niemki mieszka-
nia i powrót - dostrzegano się, że kilka obywateli wysła-
ła ją prawną, a dokonano w jej mieszkaniu rewizja upoważniona, że
był tam cały szereg broń, amunicji i oficerek mundurów oraz
kilka ubrań cywilnych. Jak wynikało z dochodu - Niemka ta zapo-
trywała oficera w cywilne ubrania i ukrywała ich ukrywanie się w
klatkach Schönesina, do którego byli tacy, którzy nie wierzyli w
zakochanie wojny i kłótkę Niemiec i wyszli w tym czasie, ciwili,
by szukać na okolicznej wiosce wódki Polaki. W przeciwno-
stwie do niej - inżynier z żoną byli ludźmi spokojnymi. W nich to,
w moim zdaniu mieszkała odnajdywała pokój Polka, pracownica kon-
sultacji polskiego w Szczecinie do 1933 roku.

Pracując wspomnianymi do owego czasu, kiedy to po długim
błądzeniu wrócić do domu, przez gwałtowność powstania
ze troskliwej opieki lady niemieckiego inżyniera zamieszkała to,

to przeszyłam tych parę dni, póki nie przyszedł pomoc znajomych. Nie miałam dokładnie wyjaśnienia, gdzie oni szukają mieszkała, bo najchętniej i ulegałam różnym halucynacjom, widom zmarłych mi osób. Siemka ta cały czas gwałtownie śledziła przy mnie nieśmiało mi taką pomoc jaka w tych warunkach miała być udzielona. Przez pierwsze jeszcze tygodnie byłam w domu, na czas obcych ludzi, została odtransportowana mnie do szpitala szkieletowego.

I w tym właśnie czasie, późna pora miała niespodziewaną wizytę redakcja z delegatury Ministerstwa Informacji i Propagandy. Wraz z nimi przyszedł ktoś do mnie, to był mój brat i bratowa, więc mając nadzieję na spotkanie, przyszedł wyobrazić sobie, że przyjdą, którzy poprzednio nie mieli wyjechać. I tak się stało, że po całym mieszkaniu, jak po śnie, a ja nawet zaproszenia nie mogłam do jak nawet mówić łatwo doszłyśmy do spotkania z osobami. Wreszcie tak mi wszystko było obojętne, że tylko powiadziłam im, że przyjdą do wiadomości jego wyjaśnienia, które w końcu zostały mi udzielone na temat zabrania jego osobistych rzeczy. Jak się później okazało z relacji poprzednich gospodarzy tego mieszkania, to do jego osobistych rzeczy należały: porcelanowy dywan z jadalni, sukienki, narciarski, cała masa nieopracowanych obrazów współczesnego malarstwa Hofmanna/podobno Wlastimila/ itp.

Te dni bezwzględnie latała w domu i oczekiwanie na śmierć wyżyły mi się głęboko w podświadomości. Brak snu, wyostroszony słuch, ogromny nieustanny ból głowy - wszystko to sprzyjało, że kiedy stałam na ulicy, kładła się pod restauracją z dobieganiem się do bramy odbijały się w moim umyśle w sposób obok siebie, powielając groźbę nocy i dni.

Na nagle zjawia się u mnie lekarz z prawdziwego zdarzenia /przez jakiś czas przez moją znajomą z [redacted] / - i w pół godziny później, na moich życzeniach mnie do naprawy zorganizowanego samochodu /loru wozu na warszawę/, na którym pod przewodnictwem

poświęcała i zapadła do pracy tych lekarzy, którzy tworzyli tu najważniejszą podstawę szpitalnej służby zdrowia, w szpitalu przy ul. Arkuszkiej, to wówczas pierwszą jego dyrektorką dr Elżbieta Kuk wraz z Donald Orłowicz. Długo krótko pracowała przy dr Romanie Karaczynowskiej w szpitalu, dowiadujemy się, iż 17 sierpnia 1945 r. w szpitalu tym przebywało już 20 chorych, a ogólnie w sierpniu tegoż roku leczono tu 170 chorych na jedną wówczas postać zakaźną.

Tyle autor publikacji. A ja dodam od siebie, że w rejestrze tych 170-ciu chorych na pewno znajdują się i moje nazwisko. A o staraniach oprost donaturach tej garstki lekarzy, aby przynieść ulgę i zdrowie ludzkiej postarano się imiennie - opowiedz tylko krótko. Z chwili kryzysu, gdy chodziło o życie lub śmierć moją, sądziłem sobie, że nie ma już dla mnie lekarza i że nie ma dla mnie pomocy. Wtedy zastąpił na poliklinice ktoś inny, bo już nie innego nie było. Wtedy mi nie było trudno, chodziło o innych chorych dopiero wtedy, gdy kryzys minął, temperatura przestała wyznaczać niebezpieczeństwo to w górę to w dół, a ja wreszcie potrafiłem obserwować swoje i uważałem się, że usiłowałem zrobić jak najlepszej, a co przygotowało chyba grzeszniego dziecka. Nie wiem jak znowu nazywał się ten lekarz, ale jego pełna poświęcenia postać nie zapomnę nigdy. Mówił i dr Elżbieta Kuk odwiedzała mnie, kiedy byłem już zdrowy.

Z pobytu w szpitalu wspominać ciekawie zdarzenia, kiedy miałem także ostatnią przysługę do 3-osobowego podziału, znajdowała się tam tylko jedna osoba, a stał się zdrowie. Była to jakaś szwedzka, znała się z lubelskiego - marzyła tylko o wakacjach na francuskim wybrzeżu i lamentowała, że przez cały okres choroby wszyscy jej znajomi najwięcej już zrobili, a ona niczego to domu nie posiadała. Pod koniec przygotowania siostry Rosjanki z barki przeszedł jako trzeci do naszego poroju. Znamyśmy się, że nie jest

specjalnie ciężko chore. Wzruszający jej śmiech lekarki /mama/ wraca
wspominać z jej smutku i bolesnym rozumem dziecka. Wzięła się
trochę takiej diecie, ale wzięła, że widocznie nie jest chore na
tyfus. W nocy nagle wstała nad sobą pochyloną postać o nieprzy-
tomnych od gorączki oczach. Przeraziła się bardzo, gdy zobaczyła
ją całą zabraną i gwałtownie wychyliła się do niego łóżka. W
pierwszym momencie straszła się strachu, a potem sama nie wiem
skąd wzięła tyle siły - wstała, jak nieśmiała dziewczyna, aby sobie
poszła do swojego łóżka, przy czym gwałtownie wstała, a sama
wstała się z łóżka, uśmiechnęła się w płacz i wyszła na korytarz.
Była to panna młoda, głucha i parę, słabo oświetlony korytarz wyda-
wał jej się nieskończenie długi. Wzruszający wycisk siły, zaczęła
wodzić - "siostrę" -, ale był to tylko słaby płacz jak kocięta, a nie
ludzki głos, to też nikt u niej nie słyszał. Postanowiła pójść do
dyżurni siostry i zapytać o stanie tej chorej, że nasza rodzinka
nakryła głowę kocem i usłuchała, że nie widzi, ani nie słyszy.
Ale droga do dyżurni była ponad moją siłę, to też trzymając się
ściany powoli przemieszczała się powoli na podłogę. I zaczęła się
na zimnym betonie powoli dostarczać się w stronę dyżurni, gdzie
pod drzwiami ponownie zamknęła. Przekonała jednak wysmarowała parę
słów na temat choroby w pokoju. Wyciągnęła rękę zrobiła się ogromny
po wyprostowaniu przeniesiono mnie na rękach do mego łóżka, a rano
zabrano chore, skierowały do organizującego się już osobnego szpi-
tala radiologicznego. Ale o tym dowiedzieliśmy się znacznie później bo
u mnie zaczął się właśnie krzącał krytyczny moment - nie byłam już
zdolna ani ust ani otworzyć. Nie pamiętam już dziś jak długo
przeżywałam w szpitalu. Była ciężko, smutno i ubogo w tym czasie.
Kamiono nas zupa z maki, że ani gryzła ani męczy czy ryba nie
była. Dopiero potem przystano mi z Inspektoratu parę złotych sal-
cuki na pensję i prywatnie kupowała coś nie coś, prosiła usługujące
nam kobiety o zrobienie zakupów dostępnym w tym czasie, bo już

pojawiać się zaczęły pierwsze prywatne sklepy.

Nie mogłam doczekać się chwili powrotu do domu. Na moje usilne prośby wyjechała mnie o 2 dni wcześniej niż się należało. Było to w sobotę, kiedy przegrali odwiedzić mnie znajomi - upartym się wraz z nimi wracać do domu. Po zdziwionych twarzach obu panów tj. [REDAKTOR] i [REDAKTOR] ugr [REDAKTOR] zorientowałam się, że chyba wyglądam nieznacznie /a lusterka nie miały/ skoro boję się wziąć mnie ze sobą. Ale ci czegoś płacz kobiecy. Próbny na najtwardsze słowa, a coś dopiero litotwórcze serce zmięknęło. Wzrost po zakazaniu formalności kancelaryjnych - wyruszyliśmy w tożym płaszczy, a Arkadijskiej na [REDAKTOR], bo taka pierwsza nazwa otrzymana ulica przy której mieszkałam. Dział nazywa się [REDAKTOR] [REDAKTOR]

Była to - jak już wspominałam - piękna słoneczna sobota. Podtrzymana silnie z obu stron wiktas się noga za nogą do dalekiego domu, bo leżała w łóżku, przepocierała swoje siły fizyczne. Jednak silna wola, a raczej babeki upór sprawił, że przejechałam cała tę kilka kilometrową trasę i półnym popołudniem umalantam się u siebie. Wszystko dobre co się dobrze kończy. Moje przygody tyfusowe skończyły się czterotygodniowym urlopem szronowym, po którym wzięłam się ostro do pracy.

Tym wie, czy zapadł mnie do niej ogarnął, że bardzo uroczyście i gromadnie witali mnie wzywaj naukowcy z inspektorem Pachow- skim i jego żoną na czele. Była słoneczna niedzielna przyjęciem jakieś w mieszkaniu, pełnym kwiatów ugotowano. Mimo że całe się bawitarka dnia, a także byłam, gdy ukazywał kontuzji spod kozy. Zre- sata były to czasy jakiejś agresyjnej witali nigdy ludźmi, bezpół- roczniej szczerości, bez półniejanych uprzedzonych konwenansów. Wi- docznie w jej czas radość z odzyskania wolności bratnia ludźmi cał- kowicie sobie czechy. Każdy z nas odzyskał spokój i szczęście na myśl, że już się skończył konwent szronowy.

Sprawił to przy pomocy i pomocy innych otrzymawszy oficjalny przydział do grona pedagogicznego pierwszej szkoły podstawowej im. Bolesława Chrobrego przy Al. Piastów, ale nadal pracował do końca roku w Inspektoracie Szkolnym, sprawując całą sprawę; w szczególności w sprawach administracyjnych pod wyjątkowym okiem wspomnianego już inspektora szkolnego kol. [REDACTED].

W międzyczasie Kuratorium Okręgu Szkolnego Szczecińskiego przemieściło się z Koszalina do Szczecina, do którego grona przy ul. Piastów. Nowi ludzie i nowe znajomości. Jak bardzo zakłócała się i zmieniała się i zmieniała, gdy wśród nich zobaczył profesora Vincentego Lewickiego, ówczesnego naczelnika Wydziału Szkół Średnich w tymże Kuratorium.

Było to przedyskutowanie nie do opisania. Od wielu lat nieistniejący był profesor matematyki i 30-letni wyznawca ze szkoły średniej we Łwowie - dobry przyjaciel i zawsze niedzielił jak rękawisko - jest teraz tu w Szczecinie. Tak to na prawdę niespodziewany dar losu. Tak jak bym zobaczył kawałek swego rodzinnego miasta - miasta mojej młodości. Uznałem się bowiem, że prof. Lewicki był więzieniem kilka osób koncentracyjnych, że wrócił z transportem swoich z Międzyzdrozów Czarnego Kręgu z Łubeki. I po odwołaniu swych dzieci /syna i córki/ pragnie osiedlić się właśnie w Szczecinie.

Oczywiście moje osobiste mieszkanie stało się dla niego i jego rodziny chwilową przystankiem, do czasu uzyskania przez nich własnego mieszkania. Krążyła nie tylko prof. Lewicki korzystał z mojej gościnności. Prawie całe nauczycielstwo zatrzymywało się wtedy u mnie na krótkiej lub krócej. Moje mieszkanie stanowiło wówczas jakby punkt informacyjny - co, gdzie i jak? A we władani siłami z pierwszej ręki, więc nie dziwnego, że tłumnie u mnie i gwaro.

W swoich wspomnieniach /w liście prywatnym/ tak pisał Stanisław Jankowski: „U Łodzi zatrzymuje się całe nauczycielstwo. Tu

udała się informacji... Kasia gościnnie uczyła herbata, a jak
jest do innego to również - wesoła, żywa, głośna, wszystkich
się tak można powiedzieć. Sprawy w tej chwili. Kasia gra na pia-
nino, śpiewa, a my przesiedliśmy sobie, staliśmy na jakimś wiek
rosyjska. Tyła w Szwecji pełne wesołości, miła i ciekawa..."

... "Pracuję w sekretariacie [redacted]. Tu ruch
cały dokoła nie do opisania. Tyle ludzi chce się dostać do niego.
Sekretarz [redacted] co może, to nakłania, ale two-
rze się coraz to inne przedsięwzięcia - narady trwają najdłużej
godzinę do nie na czasie. Ten kłopot taki, ten inne umówienia ma
do nakłaniania. I ogólnie pisać coś nie sposób, bo tyle ciekawych
spraw, że nie można stać uwagi nad jedną sprawą."

Tak to mieszkańcy Szwecji spotykali w tym czasie kawiar-
nie, kluby i inne miejsca spotkań. Wzrost w pewnym sentymentem wpo-
nianie to chwila. Nawet one jakieś wzmuszają i niecywałe radość.
Pomimo tym ciągle czuł, że jestem trochę potrzebna, że nie było na-
daremnie. Inicjatywę się w postaci osobnych spotkań, rozmów i chwila
nowo traktowanych przyjaciół, ale do dziś wami głęboko wewnętrzne prze-
życie, że w tym czasie byli wzmuszani, bliźniaczo i bezinteres-
owni w niesieniu pomocy innym.

JAK stały, w końcu 1945 roku wyglądała Szwecja? Ano, ulice
były raczej ciemne wieczorami. Skąpe oświetlenie posiadały tylko
główniejsze ulice Śródmieścia, a więc: Al. Wojaka Polakiego, Jagie-
lleńska, S. Krzywoustego, Bohaterów Warszawy, Mickiewicza, no i
przebiegająca, główna arteria Al. Piastów. Jeszcze grupy nie
rzadko walały się po alejach, chociaż było ich o wiele mniej, a
dziści powoli zaczęły zniknąć. Mieszkańcy prawie już przy [redacted]
[redacted], na którym przez czas dłuższy spoczywały ciała pole-
głych żołnierzy radzieckich, którzy z syberyjskich równin i nad-
wołanych stepów tu znaleźli wieczny odpoczynek w trudach
wojowania na polski Szwecji. Ten mały smutny w środku miasta

zwrócić uwagę na to, że w szczególności podlega refleksji.

DRUGA PRACA W ADMINISTRACJI SZKOLNEJ

Przyki najwcześniejszym przebiegiem pracy służy odwołanie swego dawnego profesora w Kuratorium C.S.B. - nawiązaniem kontakt z Wydziałem Światy i Kultury Bernejskich, którego ówczesnym kierownikiem był mgr Gidon Kryszak, wspaniały organizator. Wrócił on do Polski z całą rodziną z zagranicy. Tam, w Berniejskich organizował i prowadził podczas wojny polskie gimnazjum.

Polował interesowała mnie zawsze praca kulturalno-oświatowa w środowisku polskim - nawet przed wojną kołowały specjalne kursy z zakresu teatru amatorskiego i różnych prac świetlicowo-artystycznych - więc szybko znalazłem wspólny język z kierownikiem mgr [REDAKTOR].

Złaz on w projekcie utworzyć teatr kulturalny, w którym praca bardzo by mi odpowiadała. Dlatego bez trudu nakłonił mnie do objęcia na radzie pracy referendarską w Wydziale z tym, że gdy zajdzie okazja utworzenia teatru, przejdę do pracy teatralnej. Wszystkie formalności zostały przez mgr Kryszaka załatwione z końcem roku 1945, tak, że z Nowym Rokiem 1946 roku przeszedłem do pracy w Kuratorium C.S.B. I tak oto stałem się pracownikiem administracyjnym drugiej instancji szkolnej.

Rok 1946 to dalsze konsekwentne ucieśnianie władzy polskiej w Szwajcarii, to tworzenie ni, różnorodnych placówek przemysłowych, handlowych, to restauracja szkolnictwa. I trzeba pamiętać, że wtedy do województwa szwajcarskiego należały 24 powiaty, że potem z bis-giem osadu oddano ziemi, kornaliński i utworzono odrębne województwo.

Pracę było więc trudną.

A jak w tym czasie wyglądało życie w Szwajcarii? Tu odnaj-

głos publicyście Stanisławowi Raszewskiemu, który w Kurierze Szeceńskim z marca b. r. tak opisuje wiośnię 1946 r. - Cytuję: ... "Dzwon Szynowy szybko zapada w ciszę i deszczowego umierania. Na peronach wielkie kabury. Chmury nisko; może snów mocno padać... Kiedyś marzenie kontynuacji podziemi naszego pociągu? Nie ma go w rozkładzie jazdy. Rzeszów. Szynów tam na 318 kilometrów jest cel podróży; nadodrzański port i miasto, w którym odbędzie się jutro i pojutrze słot młodzieży - manifestacja skierowana przeciw polonizacji przemówienia Churchilla... Sdra. Kupujemy blisko wykładania się szare-błękitna wstęga wodna. Czernienia i biała wita nas transparenty. Można przeczytać je wszystkie, gdyż jedynym wolno, bardzo wolno. Chwilami wydaje się, że prędkość się zmienia. Ale to jeszcze nie w porównaniu z przejazdem przez drugi most, przerzucony przez saperów nad zachodnią odnogą Giry... Pod nogami w dół, szeroko rozlana wielka rzeka, na prawo i na lewo - szczątki zabudowań jakiejś fabryki, w oddali - szary wieś Szczecin, osłona lekka mgiełka. Pociąg wjeżdża się w ulice miasta, przejeżdża obok ruin i jezdni, które stanowią właścicielom wozów wśród wagonów usypanych w gruz /tak jak w Warszawie/. Gdzieś niedaleko wyniesiony szkielet komisarzy, przewieszający niebieską jasnym, kwiatowym... Szczególnie ruchliwi są Amerykanie... Wszyscy oni przyjeżdżali zobaczyć Polskę w Szczecinie, są mniej lub bardziej krytyczni, i dlatego wiele ich dźwięki. Szliśmy, że ujrza tutaj "białą plamę" bawarską, a tymczasem obok olbrzymich zniszczeń wojennych - widzą uprzążnięte ulice, kursujące tramwaje - wielkie błękitne wagony z czerwonymi Gryfem - barba miasta, widzą otwarte sklepy, restauracje, ruch na ulicach... Przejedźniemy chyba przez całe Śródmieście. P. tam jest szeroki pas zieleni, jakiś park, ogródki działkowe, wiatki... Zbliża się godzina zachodu, gdy powracamy do Śródmieścia. Pociąg ulic zbliża się przy placu wypełnionym gęsto delegatami młodzieży z całej Polski".

Tyle przyjechał z Warszawy. Ale my, mieszkańcy Szczecina,

uwatamy swoje miasto za jedno z najpiękniejszych nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Szczęśliwy się jego urbanistyka, podobną do urbanistyki Paryża, stolicy świata, szwajcarskiej Szwajcarii, trzecim co do wielkości w Europie itd., itd.

Naszymi rękami ogrzewane ulice i place tytuła Sycylii. Ludzi w Szczecinie coraz więcej, szczególnie młodzieży. Szczecin to miasto młodych, a więc miasto przyszłości. Już nie ma polskich chorągiewek w oknach prywatnych mieszkań - nie trzeba ich, bo prawie wszystkie mieszkania są już zajęte przez Polaków, a Niemców tylko garstka. Biugofalowa akcja wyjazdu do Niemiec zorganizowana przez władze polskie na zasadzie porozumienia - a prowadzona przez Polski Czerwony Krzyż, pozwala tysiącom rodzin niemieckich opuścić niemieckie w sposób kulturalny, wygodny, i prawie nie komfortowy. Świadkami w tym czasie byłam pracą społeczną z Zarządzeniem Okręgu POK i nieraz niejednokrotnie okazji osobiste przekonanie się na punktach repatriacyjnych na Pogodnie, w jakich warunkach wyjeżdżali Niemcy, jak starannie była zorganizowana opieka zdrowotna nad chorymi i starcami. Chwilami aż dziś brak człowiekowi, że w taki sposób odpowiadają Polacy na brutalne i bestialskie wysiedlenia Polaków z Pomorzańskiego w latach: 1939, 1940, 1941.-

Ale wracam do wspomnień osobistych, do mojej pracy w tym czasie. A była ona, choć nowa, to wcale ciekawa i różnorodna. Zabatwiałam nie tylko wszelką korespondencję /redagowanie, przepisywanie i wysyłka/ ale i wykonywałam wszystkie prace statystyczno-sprawozdawcze, na podstawie materiałów z poszczególnych podinspektoratów OIKD, z wymienionych 24 powiatów. W tym czasie należało do mnie interweniowanie w różnych urzędach w sprawach placówek podległych naszemu Wydziałowi, wglądanie w osobiste sprawy kadry pracowniczej /w przeważającej części nauczycieli/. Brałam również udział, nawet dość często w ogólnych naradach w Kuratorium. A nie rzadko trzeba było decydować o sprawach placówek ko w następstwie za

wizytatorów, którzy nieumiejętnie przemierzali tereny powiatów i "gustylnie kulturalne" zamieniali w zwartą sieć różnorodnych placówek k/o tętniących życiem i pracą.

Były to trudne miesiące. Brak ludzi z wykształceniem dotkliwie dawał się odczuwać w tej pracy pomocniczej. Często brano do pracy ochotnych, ale niewykwalifikowanych pracowników, byle stworzyć świetlice, stworzyć chór czy teatralny zespół amatorski, albo też kursy dokształcające różnego typu. Odbijało się to niemasz bardzo wybitnie na sprawozdaniach przesyłanych z powiatów do biura naszego Wydziału. Szczególnie jeśli chodzi o prace zespołów artystycznych. I tu okazała się bardzo przydatną moja dotychczasowa praktyka nauczyciela-oświatowca oraz teoretyczna wiadomość zdobyta w szkołach i kursach muzycznych. Pami tam jeden taki wypadek - w ostatniej uwielii z końca roku 1946 nadeszło sprawozdanie roczne. Bliżki, kilkunastu dniowy teren sprawozdania skierowanego do Ministerstwa Oświaty nie pozwolił nam na wyrażenie reklamacji do niektórych powiatów z wykazaniem popełnionych błędów i próba o korektę. Trzeba było to zrobić tu na miejscu i to szybko. Okazało się bowiem, że np. w jednym sprawozdaniu podano liczbę 32 chórów w jednej miejscowości, co było oczywiście absurdem, bo był to tylko 1 chór jednogłosowy, złożony z 32 członków - albo w innym sprawozdaniu podano, że są 4-ry chóry /dwa męskie i dwa żeńskie/, co znówu przeszkadzające na język fachowcy znaczyło, że jest jeden chór 4-ro głosowy mieszany. Wskazywały się i inne mniej ważne uwagi, które trzeba było korygować, bo w podsumowaniu liczb nie zawsze się wszystko zgadzało. Prócz tego było masę innych trudności, i choć każdy z wizytatorów /a było ich czterech/ sam redagował powizytacyjne notatki i protokoły, to z uwagi na przepisywanie na maszynie było sporo roboty, nie mówiąc już o rozplajaniu najprzeróżniejszych okólników i rozporządzeń ministerialnych i miejscowych kuratorskich do podległych nam placówek.

Wszystko to w istocie panuje pozostało u mnie szczególnie ci pierwsi

właściciel, bardzo kulturalni, orłarni, to też i zapracowani. Do nich należeli: mgr [redacted] /naczelnik/, prof. [redacted] /inżenie-
nie pamiętam/ dr [redacted], późniejszy dyrektor Państw. Średniej
Szkoły Muzycznej, prof. [redacted] /dyrektor Państw. Szkoły Średniej
Muzycznej/, prof. [redacted]. Byli to ludzie na prawdę wspaniali
byli osobista, wysoką kulturą swojową z rozległą wiedzą i doświad-
czeniem w pracy dydaktyczno-oświatowej. Dlatego też wpróżniona z
nią nadawała mojej referendarewioj pracy jakiś dodatkowy szczególny
walor. Jakkolwiek praca administracyjna w ogóle nie odpowiadała mi
i realna się do pracy bezpośredniej z materiałem ludzkim. Z jednej
strony pochlebiali mi to, że nasz Wydział O.I.K.D. ma bardzo dobrą
lokatę w Ministerstwie Oświaty, jako wydział dobrze zorganizowany,
aktualny i pierwszy wysyłający sprawozdania sporządzone bez narzutów,
ale z drugiej strony przytknęła mi ta papierkowa robota. Wpraw-
dzie odskocznią była mi praca pedagogiczna w pierwszej szkole muzy-
cznej w Szczecinie, założonej prywatnie przez prof. Halinę Nowacką-
Surniaczową. Ale była to już druga praca zajmująca mi dzień w dzień
popołudnia i wieczory tak, że zapomniałem wracać do domu i widać
nie miałem czasu na własne kontakowanie, o którym przecież ciągle z
uporem myślałem. Poza tym bardzo utrudniającym i niechętnym
faktorem było to, że w początkach organizacji szkolnictwa muzycznego
w Szczecinie zgłaszali się na naukę dorośli oraz młodzież, którzy
nabywali mieszkania wraz z instrumentami. Nie liczone się ani ze
zdolnościami ani umiejętnościami do muzykowania, po prostu uszyli się
wszyscy, którzy mieli 10 palców u ręk i pianino w domu. Właściwie
bowiem do dobrego tonu grać, jeśli się tylko posiadało jakiś taki
instrument. Oczywiście sprawiało to wiele kłopotu uszycym. Oni to
byli wspaniali. Chcieli w zasadzie uszywać głównie muzykę poważną
z przedmiotów teoretycznych/śpiew, solfeż, zasady muzyki, histo-
rię muzyki/ to jednak obowiązywało mnie początkowe znaczenie gry
na fortepianie. Przymyślałem sobie, że na 20 adeptów tej sztuki,

dwójce salawie odpowiadał wymogom szkoły, ok. pięcioro było mniej więcej na przeciętym poziomie, a reszta grubo niżej wyświeganego poziomu. Czyż w takich warunkach nie mogło osiągnąć się nawet w najbardziej muzykalnej duszy zniechęcenie? To też po roku takiego męczącego, wyczerpującego zajęcia, a dającego właściwie bardzo mało efektu, zrezygnowałam z pracy w szkole muzycznej.

Rok 1946 odznaczał się poza innymi objawami i tym, że nastąpił rozwój związków zawodowych, a więc między nimi i utworzenie Zarządu Okręgu ZNT, który to związek ma tak bogatą tradycję w walce o słuszne prawa człowieka pracy.

A więc pracy spore i specjalnego posmaku nabiera często wówczas powtarzane powiedzonko - "no trzeba wręcz trochę pomieszkad u siebie". Rzeczywiście, praca zawodowa, społeczna i polityczna była pochłaniała godzin dziennych, wieczornych a nie rzadko i nocnych, że tzw. pomieszkanie w domu trwało zazwyczaj zbyt krótko, ot czasem tylko kilka godzin snu.

W czasie pracy w Wydziale O.I.K.B spotykałam się z takim charakterystycznym dla tych czasów wypadkiem. Było to już pod sam koniec roku. Sprawozdawczość pochłaniała nasz czas nawet na nocno domi zabierałam robotę i maszynę do piwnicy, aby tylko złożyć w terminie. Aż tu nagle, kłopot. Wydział Finansowy, którego wówczas kierownikiem był p. K. [REDAKTOR], rozesłał z Poznania - alarmując, że nie da nam rady wyekspedicować przez Banki Krowy wypłat nauczycielom z tytułu wynagrodzenia za pracę dodatkową w szkołach i na kursach dla dorosłych za czas: wrzesień-grudzień. Było tego ok. 4 miliony zł. dla całego województwa. Jeśli nie będzie grudniowej daty stemplowej to cała suma przepadnie i ci ludzie za swoją pracę nie dostaną ani złotówki. Jedyna rada to natychmiast iść do kasogowości i pomóc w wysyłce przelewów bankowych. Nie znałam się kompletnie na tego rodzaju pracy, ale po uzyskaniu najniezbędniejszych wskazówek - wypisałam dziesiętkami przelewy dla 24 powiatów po kilkanaście godzin kna

dobry. Prasa ta trwała kilka dni. Nie zwracała uwagi ani na wywołaną gorączkę, ani na kaszel, gdyż aktualnie byłam mocno zajęta. Wągle było mało, mieszkanie obzerne, a odzież licha, bo co było lepszego, dawno poszło na dywanoid w czasie długotrwałej okupacji.

Blasnego o tym wspominałam? Bo dała, kiedy niektórzy ludzie tak sułennie liczą swoje godziny nasłuchowe - nie do pomysłenia jest sprzet, żeby ktoś mógł mimo choroby poświęcać swój wolny czas na prace siłowe. A przecież w tamtych latach nie byłam wyjątkiem! Było to na porządku dziennym, że ludzie dzielili się i troili, byle tylko wykonać zaplanowaną, a konieczną pracę. I znów muszę tu z naciskiem podkreślić, że nikomu wtedy nawet przez myśl nie przychodziło, że za to należy się jakaś nagroda czy wyróżnienie. To prostu spełniało się tylko obywatelski obowiązek. A przecież też mieliśmy swoje rodziny, swoje kłopoty, swoje marzenia do zrealizowania.

W 1945 roku przyjechała do mnie siostra, dawała wiadomości o tym, że wojna przeszkodziła w nauce. Warunki okupacyjnego życia nie pozwoliły mi na posyłanie jej na tajne komplety gimnazjalne. Teraz trzeba było nadrobić stracony czas. Potem późną jesienią wprowadziła nasze skromne gospodarstwo, bo nam prawie w domu nie było. Siostra choć mi choć trochę pomogła, pracowała najpierw dorywczo w sekretariacie szkoły amatorskiej, a potem w Zarządzie "lejekin, a popołudniami i wieczorami uczyła się.

Trochę o najbliższych obsorbowaliśmy mnie bez reszty. Nie miałam ani czasu ani siły na to, by pomyśleć o utworzeniu sobie prywatnego życia. I tak się rozciągało na lata całe, a potem już było za późno, by tworzyć własną rodzinę. Ani już wiek ani stronica po temu. Brzość, ciężkie przeżycia osobiste z lat okupacji wyłobowały tak głębokie brzozy, że niczym nie dało się ich zapełnić.

Od samego niemal zmi początku brałam żywy udział w przejawach życia polskiego w Szczecinie, każde wydarzenie czy to kulturalne

czy natury gospodarczej lub politycznej było gorące w gronie najbliższych moich znajomych omawiane, dyskutowane, a każde osiągnięcie miasta przeżywało się jak swoje własne. Nie wiem czy pamięć, straci w niecodziennym blaski tamte dni pionierskie czy obecny rozumienia społecznego w naszym kraju stał się chlebem powszednim, a wiary naturalnym, co nie dąży, nie ekscytuje człowieka, ale wywołuje się, że takiego entuzjazmu i zapału do pracy, jakich byliśmy świadkami w początkach powojennych latach - dziś się już nie obserwuje. Było się wtedy w jakimś gorącym tempie, każda godzina liczyła się podwójnie. Może właśnie dlatego tak szybko uległo nam to ostatnie chwile.

Początkowo port był martwy, zamieszony i wyszabrowany. Ale prawie niespostrzeżenie ninał czas, gdy z prasy codziennej dowiadywały się o coraz to nowych osiągnięciach pracowników portowych i Służby Morskiej. Chciał mój rodzaj pracy w jakimś się nie wiązać z pracą portu szczecińskiego czy stołecznej szczecińskiej, to jednak rozumiałam się przynależna do wspólnoty portowego miasta, dla którego też pracowałam. Dlatego każdy wysiada portowców i marynarzy napędzał nas wszystkim dumą, radością i optymizmem na przyszłość. Pamiętam Święta Morskie w Gdyni w Polsce przedwojennej - to też ze szczególnym wzruszeniem choć miała asystować różnym naszym morskim uroczystościom - a od zylli o 500 km wybrzeżu, aż doch zapie- rało.

A nie zawsze było łatwo w tych czasach. Nawet o spokój wewnętrzny trzeba było walczyć. Bo stała propaganda i skowroga plotka co jakiś czas odrywała Szczecin od Macierzy, miała niepewność jutro wśród mieszkańców miasta. I na prawdę też było patrzeć na tych koczowniczych którzy w obawie przed nową wojną robili ogromne zapasy z chleba, bułek, soli, cukru, czy nawet octu. No i potem, po oprzytomieniu, ze wstydem i stratą pieniędzy usiłowali pozbyć się usiłowanych zapasów. Czasem było mi ich żal, a czasem po prostu śmiać

ni się, caciako na wiatrak uginających się pod workami szarego, pie-
karnego, z którym daremnie chodzili od sklepu do sklepu, a nawet po
domach prywatnych.

Rok 1946 jeszcze z innego powodu tak bardzo utknął mi w pa-
mąci. Ojciec, siostra moja na skutek przenieszenia i niedożywienia
młodego organizmu /jeszcze od czasów wojny/ zapadła na ciężkie za-
palenie nerwu wzroku. Straciła jej całkowita ślepota. A miała wtedy
niewiele ponad 20 lat. Ogromnym nakładem starań i kosztów uniesio-
łam ją na okulistyczną klinicę krakowskiej, skąd dopiero po kilku
miesiącach intensywnego leczenia mogła wrócić do domu, ale z zaka-
sem przeniesienia oczu, szczególnie przy sztucznych oświetleniu. Z
matką trzeba było się pogodzić. I tak znów jedno z moich marzeń/by
dać jej pełne środnie i wyższe wykształcenie/ rozwiła się jak dym
na wietrze. Cieszyłam się jednak że widzi i może jako tako prac-
ować. Choroba jej zazwyczaj bardzo na mnie i tak już nadwątlanym
sercu - bo musiałam pracować dodatkowo, aby zrównoważyć budżet
domowy - ucarpnisty wydatkami związanymi z jej leczeniem.

Z wiosną 1946 roku ściągnęłam najstarszego brata, który po
tragicznej śmierci w grudniu 1945 roku średniego brata Wiktora,
/pierwszego starosty w Wieluniu/ został jedynym opiekunem
naszej małej garstki samotnych kobiet. Zaczął pracować w swoim
fachu jako kosztelnik najpierw w Izbie Rolniczej, a potem po reor-
ganizacji w Wydziale Rolnictwa WRM, gdzie do dzisiaj pracuje na
stanowisku starszego inspektora produkcji zwierzęcej.

Skrytobójca śmierć śp. brata Wiktora była dla mnie cięszą
i rozdzierającą i życiową, bo znów opieką nad siostrą i schorowaną
staruszką matką w zasadzie tylko na mnie spoczywała - a miałam
obiecane pomoc, gdyż brat mój prowadzany był na zastępcę ówczesne-
go wojewody szczecińskiego od 1 stycznia 1946 roku. Tymczasem zo-
stał zabity podczas Świąt Bożego Narodzenia. Wiedziałam, że wtedy w wielu
rodzinach była radość, bo wiele osób ginęło w walce o nowy ład.

Ala najczęściej zawsze ułamała ostatecznie to, co o siebie dotyczy
jego.

W czasie jednak bilans tych dwóch pierwszych lat powojennych
był dla mnie dodatni. Radomskim się w Szczecinie, byłem nadowol-
ona z pracy i mieszkania, a i moi najbliżsi znaleźli dla mnie nie-
bie warunki życia, pracy. Chęć więc więcej od życia wymagać?

KURATOR POWIATOWA NI ORGANIZOWANIE BIBLIOTEKI POWIATOWEJ

Z końca roku 1946 otrzymałam propozycję objęcia pracy w
bibliotekarstwie powszechnym, którego sieć zaczęła w tym roku po-
wstawać. Szczęsnym kierownikiem Referatu Bibliotek przy KOSB był
kollega J. [REDAKTOR], który obserwując wykonanie przez mnie
obowiązków, sorientował się, że praca ta, choć robiona z pasją i
dobrze, jednak mi nie odpowiada, jak urosła wykonywanie pracy typu
urzędniczo-administracyjnego. Zaczęłam więc mnie namawiać do prze-
jęcia na pracę organizacyjno-pedagogiczną jaką jest w zasadzie praca
z książką i czytelnikiem. Oczywiście miał w tym swój cel. Wojewódz-
two szczecińskie cierpiało wciąż na brak wykwalifikowanych pracow-
ników kulturalno-oświatowych - było bodajże największe "pułtynia
kulturalna" wśród innych województw. Pozyskanie jak największej
ilości odpowiednich ludzi było ambicją, urosła bardzo szlachetną,
katego naczelnika czy kierownika, a Referat Bibliotek był samodziel-
ną komórka na prawach wydziału w kuratoracie.

Nie znałam wcale tego rodzaju pracy, ale nie przewidziałam
tych trudności, a jakim potem zastanawiam się, dlaczego w końcu
go bardzo chętnie zgodziłam się na podany mi propozycje. Był
może sam fakt zostania kierownikiem placówki o dość szerokiej sferze
działania przyczynił się do mojej decyzji.

Była tylko jedna trudność, naczelnik Wydziału O.K.S. nie chciał
zgodzić się na moje zwolnienie. Pertraktacje trwały blisko 3 mie-

siące. Natomiast ówczesny kurator J. K. [redacted] zdecydował i przychylił się do mojej prośby o przeniesienie mnie do Kuratoratu Bibliotek, słusznie, że Wydział O.I.K.B. już okrzepł organizacyjnie, znała sprawnie, a organizacja bibliotek, tak ważnych placówek przy samo-kształceniu i kształceniu, jest swasze w zarodku.

Tak więc od 1 stycznia 1947 r. powierzono mi osobnym piśmie pełnienie tymczasowo obowiązków kierowniczkę Powiatowej Biblioteki w Szczecinie. Aby zaś sprostać stawianym wymaganiom, otrzymałam 3-tygodniowe przeszkolenie w Spale k Łodzi, organizowane przez Kaczelną Dyrekcję Bibliotek w Ministerstwie Oświaty.

Był to okres dość ostrej nudy. Jakkolwiek zajęcia i sam przedmiot wykładów zainteresował mnie, to jednak nadążające znowu nie pozwalało się skupić wyłącznie na przekazywanych treściach, bo i kłosał i przesypianie dawały się we znaki. Poza tym intuicyjnie wyznaczałam, że program jest przepełniony teoretycznymi wiadomościami przy zanikającym czasie poświęcanym ćwiczeniom praktycznym. Poza tym brak było wyraźnych wskazówek jak zabrać się do organizowania sieci bibliotecznej w powiecie w codziennych naszych warunkach, szczególnie trudnych tu na P. morzu "achodnia.

Owszem, stawiano bardzo wysokie wymagania bibliotece powiatowej, ale konkretnie, jak na się ona wywiązać z zaliczonych na siebie obowiązków - niestety, na to nie dane recepty. Po prostu szano się na wyzwanie, intuicję i energię poszczególnych osób.

Wróciłam więc do szczecina naładowana różnorodnym materiałem teoretycznym i stanłam od razu wobec najprzeróżniejszych trudności gospodarczo-organizacyjnych. Wydzielono mi mały pokój w dużym gmachu Biblioteki Alejańskiej przy ul. Dworcowej - i kasano działać. Ale jak ? Z jakim zapleczem finansowym ? Nie bardzo wiedziałam. I choć sympatyczny kolega Siatkowski, pierwszy dyrektor BM okazał dużo serdecznej dyspozycyjności, to nie wiele mi mógł pomóc, bo sam się borykał z wieloma problemami, którym mogłam poddać

energiczka, skoncentrowana w swej pracy grupa osób fachowo przygotowanych, a nie jednostka, choćby najbardziej poświęcająca się.

Sobien wiyo, co mogła, ale nie dawało mi to żadnej satysfakcji, tym bardziej, że wisiała nade mną zmora tymczasowości, bo tylko na rok oddelegowano mnie do tej pracy.

Sprawdzie zdobyłam się na jakieś nawet bardzo efektywne i atrakcyjne propagowanie czytelnictwa w powiecie, połączone z impresjami audio-wizualnymi na ruchomej wystawie książkowej w aucie oświetlonym, ale to była według mnie partyzancka kulturalna, a nie spokojny, systematyczny bieg prac organizacyjnych i metodyczno-dydaktycznych.

Pomimo, co tu ukrywać, wciąż mi się marzyło śpiewanie, praca wyznawcza z młodzieżą i do niej się skrycie serce moje wyrwało. Tak, że gdy skończył się mój okres delegacji - odetchnęłam z ulgą, że mam to już poza sobą, a myślałam, że i mój kierownik z Referatu Bibliotek w Kuratorium również z ulgą rozstał się ze mną.

Tak to na obopólnym zadowoleniu skończyło się moje pierwsze zetknięcie się z problematyką biblioteczną. Nie przypuszczałam wówczas, że za parę lat praca ta stanie się moim drugim zawodem i że przyjdzie czas, gdy powstaną trudne decyzje, studia wyszarych w tym kierunku. Wciąż jeszcze marzyłam mi się ukochanej muzykologii.

ROZWIĄZANIE STAFY WIGIA I PRACY W LATACH 1943 - 1961

Moja impulsywna natura, reagująca bardzo żywo na wszelkie zjawiska zewnętrzne, nie pozwoliła mi na zamknięcie się w sobie. To też nie dzielnego, że wszyscy znajomi dookoła wiedzieli o moich nie spełnionych pragnieniach dokonania studiów muzycznych i głębokim unieramieniu przedmiotów traktujących o zagadnieniach z tego zakresu. A jeżeli do tego dodać rzeczwiście każdy głos, absolutny słuch i umiejętność czytania nut głosem to z całą odpowiedzialnością mi się owe słowa, mogły przynajmniej, że odpowiadałam wszystkim

warunków, jakie stawia się muzykielowi śpiewu.

Nie zamknęła sobie też, ani nie skłoniła propozycji ówczesnego kuratora, ob. I [REDACTED] [REDACTED], by objąć obowiązki nauczania śpiewu i umysłowości w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Szczecinie, gdzie chwilowo brak było odpowiedniej osoby do prowadzenia tego przedmiotu.

Jeżeli miałam jakikolwiek obiektywy, to tylko natury moralnej, gdyż brak ukłócenia studiów muzycznych, brak odpowiedniego dowodu uprawniającego mnie do zajęcia stanowiska nauczyciela szkoły średniej - wstrzymywały mnie od wyrażenia zgody. Pewnym mi bardzo było, że znajdę się wśród w gronie profesorów na prawach intruza. Myślałam kategoriami wyznaczeń przedwojennych. Nie odważałam sobie z tego sprawy o ogromne luki w szereguach pracowników kulturalno-oświatowych wymaga natychmiastowego uzupełnienia, bez względu na pełne czy niepełne wykształcenie. I kiedy o tych sprawach dowiedziałam się w Wojewódzkim Komitecie SZ, do którego to Stronictwa zapisałam się jeszcze w okresie pracy w Kuratorium - przestałam się opierać i zgodziłam się na propozycję ob. Kuratora.

Zaczęłam więc pracować w Państwowym Liceum Pedagogicznym przy ul. Jagiellońskiej /numeru już nie pamiętam/ na tzw. "górze". Od razu stałam sobie sprawę z trudności. Po pierwsze, trzeba było natychmiast gruntownie odświeżyć swój zasób wiadomości teoretycznych z zakresu zasad i historii muzyki - po drugie, dostosować wiadomości do programu liceum z uwzględnieniem zasad dydaktyki i pedagogiki szkolnej, no i po trzecie, bardzo sumiennie i drobiazgowo przygotowywać się na każdą lekcję, by zawsze wiedzieć o wiele więcej od ucni, co przy niskim poziomie ich wiadomości, nie było rzeczą zbyt trudną.

Zakres moich obowiązków był dość obszerny i w chwili ich objęcia nie wiedziałam jeszcze o tym, że pozostałości potyfusowe zrobiły ogromną wyrwę w organizmie, a radziecka gospodarka /całko-

dzienna praca bez wytchnienia/ może ci, odbić fatalnie na jego stanie sirowotym.

A zajęcia miały sporo; lekcje szkolne, organizację chóru, takie same zajęcia + lekcje metodycznej nauki śpiewu w liceum wieczorowym dla czynnych niewykwalifikowanych nauczycieli m. Szostaka, co niezmiernie zajęcia tego typu w komisji rejonowej dla nauczycieli z kilku powiatów.

Były to bardzo wytężone, pracowite, ale i piękne, niewypoznaniane dni, tygodnie, miesiące, kiedy odczuwałam dogłębnie swoją użyteczność i przydatność w społeczeństwie. Praca ta, choć podkopwała moje zdrowie, radowała mnie, sprawiała mi radość i pełną satysfakcję. Powodem tego może być fakt, że gdy prawnie wzięto i została poddana kapitalnemu leczeniu, to po tygodniu leczenia, jak tylko ustąpiły ostre ataki bólu - wyrzekałam się leczenia i wróciłam do ukochanej pracy.

Przerzuciłam więc pozycje wypracowań na zadane tematy z historii muzyki, szczególnie polskiej, a i ortografia pozostała też dużo do zrobienia, więc to czytanie pamfletów, opracowanie dorobku kompozytorów /materiały powielane/ z muzykologii, do wiadomości u tych ludzi taki zapas do nauki i chęć zdobycia dyplomu naturalnego, choćby kosztowało zdrowie. Cenilam przede wszystkim powagę stosunek do nauki, pracy i odpowiedzialność za nie, co nie zawsze można dziś spotkać w młodzieży, przygotowanej do tego, że zapominając jej maksymalnie dobre warunki do nauki, równocześnie uczy się z jej drogą wszelkie trudności.

Moim zmianą ówczesna młodzież była daleko dojrzalsza i nader rzadkim zjawiskiem było tam, "dzieci, urodzone w niedzieli".

Reakcją również naturą w tej szkole. Absolwenci mieli zasilek szeregu nauczycielskich kadry wsi i miasteczka województwa szostkińskiego. A kadry z nich na swoim terenie musiały być alfa i omega, to też musiał znać się prawie na wszystkim. Stąd też wielką wagę

przykładano do wykazania naukowego, bo to i śpiew w szkole trzeba prowadzić i jaki taki chór zorganizować, a niezależnie od tego prace pozaszkolne trzeba się parć. A więc amatorski zespół artystyczny zorganizować, kursy dla analfabetów itd. itd. Długo bardzo starannie przygotowywałam materiał egzaminacyjny, w którym starałam się uwzględnić wszystkie po trosze z obszerną kłódką dziedzinę wiedzy o muzyce. Zdawało mi się, że zbyt wielkich wymagań nie stawiam. Jakież było moje zdziwienie, kiedy usłyszałam od ob. Karatara takie oto słowa - "Nawet ja u pani Koleżanko - nie znałbym ustawy o śpiewu, a to na przesłuchanie orkiestry z lasu, którym i tak było bardzo trudno nagiąć się do rygoru i wymagań szkoły. Proszę, obawiaj trochę; ponieważ pytań egzaminacyjnych bo dużo sądził pustych w województwie czeska na nich. A to usamodzielnienie uzupełnią się potem na specjalnych kursach dokształcających". Ośmieszona robię? Skąd, tuż przed egzaminem skierowałam parę papieru z pytaniami do lektora, oczywiście formułując je jak najprościej i o zasadniczych podstawowych elementach. Naturalnie w liceum wieczorowym zrobiłam to samo.

Praca ta była chyba dla mnie najpiękniejszą w życiu. Cokolwiek potem robiłam, z większym lub mniejszym zaangażowaniem, to jednak serce zawsze zostawało przy tych dwóch latach, kiedy uczyłam śpiewu. Bo tak się stało, że w następnym roku szkolnym zaproponowano mi przejście do Liceum EPO, pierwszej szkoły tego typu w Szczecinie, a może nawet i w całym województwie.

Zarząd Główny EPO w Warszawie rozpoczął zakładanie swoich placówek oświatowych na ziemiach Zachodnich i jedna z pierwszych było właśnie organizujące się liceum ogólnokształcące połączone z szkołą podstawową, tzn. jedenastoletka. Grono pedagogiczne takiej szkoły otrzymywało specjalny doświadczenie, co z wyższą siatką płacy niż w innych szkołach było sumą nie do pogardzenia. I, że ciągle jeszcze miało na utrzymaniu matki i siostry, która zarabiała bardzo nie-

wiele, więc nawet nie namyślałam się i po pracowitym czasie wakacyjnym/prowadzenie zajęć świetlicowych na kursie nauczycielskim/ przeszedłam do szkoły KPS-owskiej jako nauczyciel śpiewu w klasach od 3- do 11-tej z obowiązkiem zorganizowania dwóch chórów szkolnych tj. dziecięcego i młodzieżowego.

Żał mi było opuścić Liceum Pedagogiczne, w którym charakter pracy odpowiadał mi najbardziej, ale względy rodzinne przemawiały na tym, by zdobyć więcej grosza na zagospodarowanie się w Szczecinie, tym bardziej, iż wyłoniła się kwestia zamążpójścia siostry i trzeba było pomóc młodemu w urządzeniu się.

Pracowałam jeszcze w liceum, gdy ta uroczystość rodzinna odbyła się. Siostra wyszła za mąż za stryjecznego brata swoich matki, który ściągnął mnie do Szczecina. Oboje z bratem dotoczyliśmy wszelkimi staraniami, by ta najważniejsza z nas nie odczekała, że to właśnie trzy lata po wojnie, ale żeby przetrwała najważniejszy swój ideał w życiu jak najpiękniej.

Pracy i kłopotów rodzinnych miałam tak wiele, że nawet czasu mi nie starczyło w dalszym ciągu na załatwienie własnej rodziny i ani się nie spodziewałam, że już na kartce mam dobrze konserwowaną głowę. Trochę o innych przeszedła u mnie w przywyczajenie i tak to zostało do dzisiaj!

Pracowałam znowu myślałam do przełomowego roku w moim życiu tj. do lat 1948/49.

Nauczanie w nowo organizującej się szkole było bardzo wyczerpujące - prawie cały dzień przebywałam wówczas w szkole, a co do nocnej godziny wracałam z niej. O amunicji takim trybem życia nawet nie trzeba wspominać - rozumie się samo przez się. Oprócz głównego przedmiotu nauczania zakładałam i prowadziłam dużą bibliotekę szkolną z czytelnią, czasopism o szerokiej asortymencie tytułów.

Materiał młodzieżowy był bardzo podatny i wciągający. Nie wahałam się wcale powiedzieć, że była to młodzież wspaniała! Tak

oriarną, tak bogatą w różnorodną i nową artystyczną, że aż podziw brał człowieka, skąd się u tych dzieci prawie bierze tyle entuzjazmu i zapędu. Bez drgania jajlejkowick niechęci potrafiła ona przebywać na próbach do późnych nocnych godzin, jeżeli tego wymagała potrzeba chwili. A przy tym była to młodzież solidna, koleżeńka, jedyną słowem - jakbyśmy to dziś określili - wysocą uspołeczniona, choć jej tego nikt nie uczył. To też na katedrach okolicznościowych zbierała zasłużone oklaski i słowa uznania za swą pracę i postawę. Oddawała tej młodzieży wszystkie swe siły, talent i doświadczenie pedagogiczne, nie licząc się wcale z osobami sił fizycznych.

I tak po roku wyjątkowej pracy dowiedziała się nagle, że w dowód uznania dla całokształtu pracy naszej szkoły jest ona wytypowana w nagrodę jako jedna z trzech szkół w Polsce na 3 tygodniowy pobyt w Czechosłowacji. Aby godnie wystąpić z 30-osobową grupą przedstawików nauki przed sąsiedzi z Południa, należało stworzyć z niej zgrany zespół artystyczny wokalno-taneczno-recytatorski na specjalnym obozie szkoleniowym w Dzierżynie w czasie 6-dni tygodni wakacyjnych, gdyż w ostatnich dniach sierpnia ma nastąpić wyjazd.

Wpewniając w grupie tej była częścią młodzieży z którą tak intensywnie pracowała w ciągu roku szkolnego, ale była też spora garść surowego materiału pod względem uciążliwości artystycznych.

I znowu zaczęła się - "harówka" - całonocna cokolwiek w barażo odmiennym planerze, bo wśród stożek, piasek, murkach i al /twierdzenia odbywały się na wolnym powietrzu/.

Nie wiedziała jeszcze wtedy, że już przez gonię reakcją się, że tylko napięcie nerwowe stworza złudne posory zdrowia. Wszystkim nam przecież zależało bardzo na tym, by zespół dał spektakle artystyczne możliwie na jak najwyższym poziomie. Komitet Rodzicielski i Dyrekcja Szkoły liczyły się wprost wzajemnie w wydatkowaniu na zaprojektowane przez mnie kostiumy do wizanki tańców ludowych, włączających w skład programu i programy.

A trzeba pamiętać, że był to dopiero 1949 rok, a więc 4-ty lata zaledwie po wojnie. Amatorski masowy ruch artystyczny był zaledwie w zarodku. Nie było tak jak dziś zespołów piosenki i tańca, festiwali, konkursów itp. imprez masowych, które dziś są dla większości chlebem powszechnym.

Wśród trzech zespołów ogólnokształcących na terenie Szczecina bardzo mocny zespół wokально-танeczny miało tzw. Liceum Szescerskiej. Tymczasem właśnie my zostaliśmy w ten sposób wyróżnieni. To zobowiązało do nadludzkich wprost wysiłków włożonych w przygotowanie programu.

Właśnie okazała się godną tego wyróżnienia. Dążyła do siebie wszystko, co mogła w tych warunkach dać i na co jej siły i zdolności pozwoliły.

Naturalnie ćwiczenia szkoleniowe na obcości w Dziwnowie odbywały się pod argusowym wzrokiem bardzo wymagającego, dziś już nieżyjącego dyrektora ob. K. [REDAKTOR]. Jakkolwiek był to człowiek parzywy, będący natychmiastowych efektów tej artystycznej pracy, powodowany w tym nadmierną ambicją, to jednak z całą obiektywnością muszę opowiedzieć przynajmniej, że bardzo się starał, by dać tej grupie środki jak najlepsze i najbatwiejszą oprawę kostiumologiczną. Na to nie szczędził sił ani finansów, aby wszystko było w jak najlepszym gatunku. Oprawą muzyczną była nieodłączna "haraczka" niewiadoma na takie widowne okazje.

Pobył na tej wyprawie wywarł na nas wszystkich niezmiernie wręcz. Wszędzie witani serdecznie i entuzjastycznie przyjeźdźcami, byliśmy przedmiotem szczególniejszej troski naszych szwedzkich gospodarzy z Ministerstwa Skultury/ odpowiednik naszego Ministerstwa Oświaty/.

Pikną też wspomnieniem było dla nas uroczyste przyjęcie w ambasadzie polskiej w Pradze, gdzie podejrzaliśmy nas ówczesny ambasador PRL Leonard Borkowicz, były wojewoda szczeciński, który wśród

naszych wychowanków witał szczególnie serdecznie synów i córki
swych byłych towarzyszy broni z okresu wojny.

I byłaby to dwutygodniowa wycieczka prawdziwą sielanką, gdyby
nie...

Zładnie, gdyby nie moje zachorowanie jeszcze w Pradze
na zapalenie włośnika śródciężnego z prąglejścieciami. To przyszwiciowa
kropla, która przesłała się przez brzości śladami - była solidna por-
cja lodów, którą niepotrzebnie zjadłam, bo gorąco był skratny, choć
to już wrzesień odercił się na drugą półkę. Wapocinas to chwila i
- s łaską łpkną w oku - i ze zgrozą. No staki sąy za stakami -
awołani do mnie lekarze, orzekli, że muszę wiaść mnie do szpitala
na przesładanie, co najmniej na dwa tygodnie. Byłoby to prawdziwą
dla nas tragedią. A wiać: przerwanie objazdu Czech, Słowacji i Wo-
ław i występów, zatrzymanie całej grupy młodzieży, która miała na
zbiorowym paszportcie w gmaczu ambasady tak długo, dopóki nie zebra-
łaby się do dalszej podróży, ewentualnie wysłanie tejże czq^ocie
młodzieży z moim paszportem i specjalnym wysłannikiem z ambasady do
granicy, a mnie unieść by trzeba było w ambasadzie, tym skrawku
ojawistej ziemi i mieć opiekę lekarzom z miasta. Było jeszcze co
prawda jedno wyj^ocie z tego impasu, to znaczy - odbywać w dalszym
ciągu zaplanowaną wycieczkę, co maą chorą, ale upartą. Ale nikt wi-
dząc mnie zimą i mdlejącą w chwilach wielkiego bólu - nie ocaiał
wierzyć, że potrafię zdobyć się na taki wysiłek.

I znów postórwały się koszarne dni z 1945 roku, z tą różnicą
że byłam na obecnej ziemi, w podróży i miałam pod opieką młodzień, -
która w dalszym ciągu występowała przy każdej okazji z całym progro-
sem, w którym musiałam dyrygować 4-vo głosowym chórem dziewczyn.

Nikt ani ja do wiać - nie wiać wiać stąd brałam siły aby w
ten sposób dotrzeć do końca i szczególnie przesłać powierzoną nam
młodzież przez Granicę - wrócić do Szczecina. Przesłać cały czas
byłam na bardzo ścisłej diecie i środkach narzutycznych, które

chwilowo tłumaczy taki ból. Był może, że nie przeżywałaby tego ciężkiego dla mnie okresu /ponad tydzień czasu/, gdyby nie ogromny wysiłek koleżanki, która była kierowniczką wydziału i bardzo dyscyplinowana postać całej grupy młodzieżowej, która w agnieniu ona wykonywała wszystkie polecenia i otaczała mnie tak troskliwą opieką, że do dziś jeszcze myślę o niej z podziwem i szacunkiem. Każde z nas myślało tylko o tym, żeby dostać się do kraju.

Tymczasem po powrocie do Szczecina zaczęła się historia. Dyrektor nie uwierzył w chorobę, uważał, że powinnaś dać uroczysty występ-koncert w salach MIM. dla szerszej publiczności, bo sama z zagranicy donosiła, o piękny programie, o naszych sukcesach. Dyrektor usiał się pochwalić, a ja nie byłam zdolna do tego, bo ostatecznie się przywlokłam się do Polski. Więcej w międzyczasie za kary przeniesiono mnie do pracy w jednej ze szkół podstawowych, ale nam pozostał na papierze, bo nie byłam zdolna do żadnej pracy i tak minęły prawie dwa miesiące leczenia w domu w coraz gorszym stanie ciała. W tym okresie spotkał mnie ciężki cios - straciłam tragicznie matkę staruszkę, którą tak chroniłam w okresie okupacji, poświęcając swoje prywatne życie. Minęło tyle już lat od tamtych okropnych dni, ale i dziś nie mogę o tym ani mówić, ani pisać spokojnie, dlatego ośmieliłam się napisać o tym najgorszym. Było to już ponad moje siły, zaraz po pogorszeniu znalazłam się w szpitalu i szpitalu na Arkodkiej, tym razem na oddziale chorób wewnętrznych. Przebywałam tam do końca 1949 roku.

Po wyjściu ze szpitala i opinii komisji lekarskiej musiałam raz na zawsze polegać się z umiarkowanymi zasobami. Organizm był tak wycieńczony, że właściwie /według rad lekarza/ należałoby z rok czasu odpocząć, wyzdusić go i przedstawić sobie swoje dotychczasowe życie na zupełnie innej torze. Ale z czego żyć nie chciałam być nikomu ciężarem, ani rodzinie, ani społeczeństwu!

Miałam auto znajomego i nawet o tym nie wiedząc, bardzo auto

przejściu. Byli ludzie, którzy od początku obserwowali moją pracę w Szpitalu i ci mnie podtrzymywali na duchu, nie pozwolili zniechęcić się i pomogli. Nie łatwo było mi w 59 roku życia zmienić pracę. A jednak zdobyłam się na to. Przeszłam do pracy bibliotecznej z dniami 1 stycznia 1950 roku.

Jest to skrośna data. Pogrzebać musiałam bezapelacyjnie myśli o studiach muzycznych i w ogóle o pracy nauczycielskiej, do której już nie byłam zdolna.

Chcąc i osłabiona przedstawiłam się dyrektorowi Biblioteki Miejskiej w Szpitalu, mgr B. [REDAKTOR] K. [REDAKTOR]. Wiedziała już o mnie wszystko. Przyjęła bardzo serdecznie i satysfakcjonująco powieści o moim odważnym. Bo czyż nie odwagą było przyjąć nowego pracownika, który bardziej nadawał się do sanatorium niż do pracy będącej ciężką i wymagającą nieraz i wysiłku fizycznego. A jednak z łycalnym i serdecznym uśmiechem przyjęła mnie.

I nie wiem, czy właśnie to jej tak humanitarne podejście wpłynęło na mnie, czy sam fakt, że będę pracować i zarabiać sama na siebie, ale od tej chwili poczułam się zupełnie na duszy i z większą otuchą zaczęłam patrzeć w przyszłość.

Nieocenione usługi w tym ciężkim okresie oddał mi kol. J. [REDAKTOR] K. [REDAKTOR], który właśnie szukał mi pracę w Bibliotece Miejskiej.

Z przejściem do Biblioteki Miejskiej zaczął się nowy okres mojego życia. Bardzo poważnie podszłam do zagadnień pracy z książką i czytelnikiem. Życzyłam sobie, że muszę zdobyć najwyższą sprawność w nowym zawodzie. Subtelna i uniejętowa opieka pani dyrektor sprawiła, że zostałam otoczona atmosferą łycalności i przyjaźni, co przy moich ostatnich przejściach, chorobach i zmartwieżeniach było jakby gojącym balsamem.

Z wielką siłą woli zastosowałam się do wskazówek lekarzy i w ciągu kilku dobrych lat utrzymywałam ścisłą dietę, regulując ją stopniowo w miarę odzyskiwania siły.

Co robiłam w tej bibliotece ?

Stoż na początek, aby szybko mnie nie przeciętał - dane mi były, osobny pokój i cały stos książek do selekcji. Jak wiemy, Biblioteka Miejska posiadała ogromne zbiory polskie ale polski księgozbiór zaczyna się od 15-ta książek 1945 roku. Wzrostło dary i zakupy prowadzone od kilku lat spowodowały, że najpilniejsze bieżące potrzeby czytelników mieszkańców naszego miasta zostały w pewnym stopniu zaspokojone. Ale dary były różne. Ważnie na tym polegała moja rola, że musiałam je bardzo dokładnie wertować i decydować, która z książek pójdzie na półki, do czytelników, która jako prohibity do rezerwy, a która na makulaturę, bo i takie się zdarzały. A więc, czytałam, czytałam po kilka godzin dziennie przez kilka miesięcy. Chyba to trwało do jesieni.

Zaczynał też być życie zakładu. Na bieżąco śledziłam jego rozwój, borykanie się dyrekcji i personelu z licznymi trudnościami i kłopotami. Boć wszystko było tak jak i gdzieś indziej w stadium organizacji i dynamicznego rozwoju.

Cieszyłam się, jeżeli mogłam w czymś pomóc, poradzić, czy interweniować w najgorszych z pionierskich jeszcze czasów. Wciążowałam się również w pracę społeczną w nowo utworzonym Związku Bibliotekarzy a Archiwistów Polskich, bo Biblioteka Miejska była siedzibą jego władz okręgowych. Tak się stało, że jeszcze w 1950 roku zostałam wybrana sekretarzem Zarządu Okręgu i pełniłam te obowiązki potem bez przerwy przez 5 lat tj. do czasu, kiedy zostałam się z Biblioteką Miejską.

Więc, gdy wracam pamięć do tych lat, to przede wszystkim był moja wstrząsanie się na kilku problemach. Na to swoje uzasadnienie w dalszych moich latach. A więc - charakter pracy, stosunek do wiedzy i koleżeństwa, równoległa absorbująca praca kulturalno-oświatowa, pochłaniająca prawie cały mój wolny czas, a wiążąca się z czasnymi zainteresowaniami oraz narastająca z dnia na dzień

niechcą do roli - "omnibusu do wszystkiego".

Pełzałowa nawet nie stawiała sobie o tego sprawy. Wszystko mnie cieszyło. Uważała, że jestem ludzisk potrzebna, a to było najważniejsze.

Od jesieni przeszedłam do innego działu - muzycznego, którego została jedynopersonowym kierowniczką. Uważałam, że to tak wyglądało, ale w rzeczywistości była to tylko wypracowana poniedziałekami rut. Ponieważ zbiór poważy, więc miał osobne pomieszczenie. Korzystający z moich usług byli: uczniowie obu szkół muzycznych, muzycy z radia i filharmonii, prywatne osoby, lub małe kameralne zespoły muzyczne. Miałam pracę w tym dziale, miałam dodatkowe zajęcia jeśli chodzi o rozwój czytelnictwa w mieście.

Dyrektor mgr [REDAKTOR] miała ten dobry zwyczaj w zarządzaniu biblioteką, że wszystkie ważniejsze decyzje dotyczące organizacji pracy podejmowała po zasięgnięciu rady i opinii szerszego grona pracowników. Stąd w dość ostatnich latach krótkich naradach brałam udział, tak, że oszczędzałam usługi, jakie świadczyła biblioteka Miejska nieodpłatnie Urzędowi "ryza, nie był mi obcy. Pracowałam do sporej części zagadnień, które były realizowane przez naszą bibliotekę przy pomocy swojej skromnej osoby.

Brałam czynny udział w licznych imprezach czytelnickich typu masowego, byłam prelegentką dla poborowych w Komisjach Sejmowych, śledziłam wyniki prac koleżanek organizujących punkty czytelnictwa w zakładach pracy /np. w Straży Pożarnej/. Zapisywałam niestety nieraz sporo czasu poza normalnym czasem pracy. Miałam uczucia dla mojej pracy były liczne nagrody, dyplomy, wyróżnienia i przeszerogowania. A mimo to przedstawiałam się z czytelnikami koleżankami po pięciu latach tak owocnej pracy. Dlaczego?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy się odnieść do początków mojej pracy w tej instytucji. Stare porzekadło ludowe powiada: "natura ciągnie wilka do lasu". I chyba to prawda

Skoro poczyna się tylko nocniejsza, skoro minęły osłabienia organizmu, bezsenność i bóle - zaczęło mi się narzekać połączenie politycznego z piśmiennymi wyzwaniami zawodowej pracy z dawnymi sąsiadami wokalno-muzycznymi, tym bardziej, że pisałem w dziale muzycznym aż się prosiło, aby je lepiej wykorzystać.

Bo i nadarzyła się ku temu okazja. Każda szanująca się dyrekcja zakładu miała sobie na punkcie honoru organizowanie akademii okolicznościowych, a ambicją naszej było, by to robić własnymi siłami.

Podano mi myśl utworzenia małego zespołu artystycznego: wokально-recytatorskiego, który obsługiwałby nasze wesołe uroczystości.

Dozyskaćcie chętnych wśród moich słodkich koleżanek nie brakło. I w niedługim czasie zorganizowałam 2 zespoły: recytatorski i tercet żeński oraz 2 solistki. Wzięły się intensywne próby pod moim kierownictwem. Do mnie należało: dobór repertuaru, dostosowanie go do możliwości wykonawczych koleżanek. W razie potrzeby przerabiałam melodie jeanogłosewe na tercet, którego urosztą akompaniowałam.

I tak to się zaczęło. Nie przewidziana wówczas następstw swego nierozważnego kroku. Bo po kilku utpanych występach zaczęło mówić o nas na mieście. Coś nowego - zespół bibliotekarek - pewna rewelacja! A że w tym czasie jeszcze stosunkowo mało było tego rodzaju grup artystycznych w Szczecinie, a te które istniały, nie zawsze były na odpowiednio dobrym poziomie, to też wkrótce nasz skromny zespół stał się znany. Miare naszej popularności były coroczne częste zaproszenia szczecińskich zakładów pracy na tzw. uroczystości artystyczne różnych akademii i okolicznościowych uroczystości. A że do tego sama zwykłe pisałam konferansjejkę łączącą sgrabanie całości programu - więc i pod tym względem nie byłymy od nikogo zależne.

Tak się zaczęła nasza nadprogramowa praca kulturalno-artystyczna, która z jednej strony przynosiła dużo radośnej satysfakcji

z drugiej zaś strony przyczyniła niemało kłopotów. Bywały formalne dni, kiedy nasilenie "naszej produkcji" przybierało wręcz niepokojące objawy. Np. w ciągu jednego dnia, od rana do wieczora trzeba było osłuchiwać 4 lub 5 akademii w różnych punktach rozległego Szczecina. W dodatku instrumenty w różnych zakładach pracy pod względem technicznym pozostawały wiele do życzenia. Niezastępnie nie było na to czasu, by przetestować sprawność stan instrumentu, co w praktyce kosztowało nieraz dużo smartwiesi i nerwów, bo albo rozstrojony był ponad miarę, albo klawisze nie odpowiadały w akordach czy trylach. Całe szczęście, że śpiewające koleżanki o dobrym słuchu i przygotowaniu nie zwracały uwagi na takie "drobiazgi" i taki kłopotliwy klawi-kord nie zbijał je z pantofelki. Jednakże takie niespodzianki nie wpływały dotąd na stan moich nerwów - a byłam becardna.

Szczętem wszystkich była arbitralna decyzja władz związkowych, które z czystym sumieniem zannektowały sobie nasz zespół, dowolnie nim dysponując, a mnie zaliczyły do grona swoich instruktorek k.o. - tak, że w razie doradnej potrzeby przeprowadzałam szkolenia na seminariach i krótkotrwałych kursach lub - jak się to u nas potocznie mówiło - walifowałam zespoły z terenu województwa do eliminacyjnych występów, co połączone nieraz było z kilkudniową moją nieobecnością w mieście.

W rezultacie za mało czasu się bibliotekarką, a za dużo pracownikiem związkowym, nastawionym na społeczną robotę. Nęczyła mnie taka sytuacja i doprowadziła do zniechęcenia. Za nic nie miałam czasu - ciągle występy, próby, przygotowania materiału w domu, do tego praca społeczna w Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich, Liceum Kobiet i od czasu do czasu wyjazdy z przebiegiem natury politycznej z ramienia ZSL. I tak w kółko jak rok dłużej. Wewnętrzny bunt narastał przeciw takiemu trybowi życia. Z niepokojem śledziłam u siebie jakież opóźnienie myślowe, brak było czasu na głębsze przemyślenie zagadnień, było się ologanami i iluzją tzw. dobrej

klubowej na bieżąco, należały jeszcze do mnie cała praca - nawiązy-
to - maszynopisarska. Przepisywałem więc oprócz pism biurowych,
techniczne opinie inżynierów z poszczególnych specjalności budowni-
ctwa lądowego i morskiego oraz wniosków racjonalizatorskich
oraz różnego rodzaju orzeczenia Komisji Inżynierów i Techników
Świątku Inżynierów i Techników Budownictwa, który przejął potem
patronat nad klubem. Niezależnie od tego byłem także kierownikiem
biblioteki klubowej, w której kolektywnie prac technicznych i usku-
gowych należało do mnie wraz z ewidencją i prowadzeniem czyteln-
masopisu. Asortyment tej ostatniej posiadał kilkunastotysięc tytułów,
tak krajowych jak i zagranicznych. Tematyka zbiorów opierała się
w zasadzie około techniki, ale wcale pomalnie przedstawiały się
problemy ekonomiczne, matematyczne, filozoficzne, urbanistyczne i archi-
tektoniczne. Nie opuszczały też były nagadnienia dotyczące organizacji
przesiębiorstwa i rzemiosła. A że dawałem sobie jakoś radę z całym
wacelnarstwem obowiązków, to też w dowód uznania dorzucono mi jeszcze
opiekę nad mieniem Klubu, co pociągało za sobą miesięczne sprawoz-
dania ze stanu ruchomości do działu gospodarczego właściwego
przedsiębiorstwa /przed oddaniem Klubu pod zarządek PZLITB/. Ponadto
miałem obowiązki pracownika K.O. Myślałem, że to chyba wystarczy
jak na jedną osobę.

Nieco wszystko z ochotą spełnianiem swoje rozliczne obowiązki
niekiedy podczas 12-godzinnej dnia pracy - widocznie taki to mój
pech życiowy. I nie wierzę ta człowieku w przeznaczenie!!!

Gdziekolwiek poszłam pracować zawsze zahaczałam o swój wolny
czas. Bo też własne prywatne życie musiałoby być ograniczone do mi-
nimum. A poza tym, siostra miała małe dzieci /2/ i trzeba było
i jej pomóc w wychowaniu tego drobiazgu.

I było mi bardzo dobrze w Klubie, w którym przepracowałam
całkowicie 3 lata swojego życia, nieco, że zaraz na początku sprawiłam
swoim kierownikom sporo kłopotu, a przede wszystkim kierownikowi

ob. J. [redacted] J. [redacted], który z konieczności miał dodatkowo mieć zastępować. W tym miejscu chciałabym mi bardzo serdecznie podziękować za kulturalne i bardzo humanitarne potraktowanie niezawinionych przez mnie komplikacji.

Do czego to nie przyszłoby pacha? Po transmisji o tym okresie próbowałam nagle rozchorować się poważnie i to na zupełnie inną chorobę niż to związane ze stanem potyfurowym.

A było to takie:

Otrzymałam polecenie z Wojewódzkiego Komitetu PZP do którego byłam delegowana jako stała prelegentka z naszego Wojewódzkiego Komitetu ZSL, aby w niedzielę/4 czy 5 marca- gdzie już nie pamiętam/ wyjechać do miasteczka Bani w pow. gryfickim i tam wygłosić odpowiednią prelekcję na zebraniu mieszkańców. Zdaje mi się, że była to tematyka związana z aktualną sytuacją międzynarodową/wydarzenia polityczne na tym nie bardzo spokojnym naszym najlepszym ze śląk dziatka/.

Aktualnie byłam mocno zainfekowana z wszystkimi typowymi objawami wirusowej grypy. Ale cóż - nie było rady. Trzeba było jechać, bo nikogo więcej nie było pod ręką - wszyscy ludzie w taranie. Zapewniano mnie, że Powiatowy Komitet PZP jest uprzedzony o przyjeździe wojewódzkiego prelegenta i zabezpiecza się. Ubrzojona we wszystkie możliwe środki antygrypowe, odziana w 2 sukienki i 2 płaszcze/jeden ochronny/ wsiadłam o 5-tej rano do autobusu po nocny prawie nie przespanej, bo w ostatniej chwili trzeba było jechać na podstawie otrzymanych materiałów opracować konspekt swego przemówienia. Dzień był słoneczny, pogodny tylko silny, a wiało solidnie od morza, jakby wiały z całej kuli ziemskiej tu nad Odrą cały sobie rendez-vous. autobus - nie powiem - przewidywany, bo zaplanami wojskał się wiatr i miala swobodnie po nim. Skulona i usiłując ta narzyłam tylko o gorącej herbacie i szalonym miejscu. Wziąć około 7-nej byłam na miejscu. Miasteczko zobaczyłam po raz

pierwszy. W czasie moich poprzednich wędrowek po niemal wszystkich zakątkach Pomorza Zachodniego jakoś nie miałam szczęścia poznać tego urodzaju, a tak typowego dla tych ziem miasteczka.

Owszem czytało, porządne, ale tak wesełą porą wyłudziło, że nie mogłam żywego ducha spotkać i zapytać o drogę do Powiatowego Komitetu PZK, bo o tym, aby mnie oczekiwano mowy nie było. No cóż, trzeba sobie jakoś radzić samemu! Trudno przecież bez końca stać na samym wietrze, pośrodku pustego rynku. A na zwiedzanie miasta w tych warunkach wcale nie miałam ochoty. Kościół był otwarty, ale świątyni jak pozostała reszta. Słgie sobaczyżem z dala migające światełko. Powoli /bo gorączka już mi się dawała we znaki/ ruszyłam w kierunku zbawczego i wesołego strugającego światełka z bocznej uliczki. Okazało się, że jest to zlewnia mleka. Duży okrągły trocinyowy piec starał się, jak mógł, żeby choć trochę ogrzać małe pomieszczenie z cementową podłogą. Gościnnie panićka - po moim wyjądnieniu - użyła mi krzesła przed piecem, informując równocześnie, że za godzinę musi zamknąć sklep, ale w rynku jest gospoda, w której, jeśli sąjdę od tyłu, przyjmą mnie na pewno i ogrzeją.

Olałego tak drobniogowo opisauję ten fakt, bo od tego wszystko się zaczęło. Na razie przyjemne ciepło bijące z bezpośredniej odległości rozmarzało mnie i nastrojało pogodnie. Xrawie zasypiając - wybaczałam wielkodusznie temu komuś, który zapomniał o swoim obowiązku. Potem zrobiłam tak jak mi słęśliwie kazano. W gospodzie przyjąto mnie z serdeczną gościnnością, posadzono w kuchni przed paleniskiem, a dla większego efektu otworzono drawiczki. Zar buchał wprost na mnie. Odtajałam w tej gorącej atmosferze. Przy okazji dowiedziałam się, że pracownik PZK miał w sobotę imieniny i pewnie trochę zaapał, a tzw. przedstawienie na się odbył w sali w rynku około godziny 16-tej, bo wtedy przyjadą artyści. No cóż - pomyślałam - szkoda, że tego wcześniej nie wiedziałam. Mogłam sobie szczęśliwie tak rannej podróży. Gdzieś około południa sja-

wił się mocno skonfundowany przedstawiciel PZP - tłumaczył się bardzo gęsto, a w rezultacie zostawił mnie nadal pod opieką zachnych kobiet w gospodzie. Czułam się coraz gorzej, nie pomagały gorące szklanki herbaty z cytryną i zasywane środki przeciwgrypowe. Postanowiłam mimo wszystko przetrwać i przed tzw. przedstawieniem wygłosić swoją zaplanowaną pogadankę. Gościnnie kelnerka zaproponowała mi przespanie tych kilku godzin do zebrania w swoim pokoiku na poddaszu - widać nie tego wyglądałam.

Przyjechała liczna ekipa z Wojewódzkiej Szkoły Milicyjnej z częścią artystyczną /własnymi samochodami/. Sala była duża, tak na oko na 500 osób - wypełniona po brzegi, przeważnie dzieciarnią i młodzieżą. Usiadłam za stolikiem i zaczęłam mówić. W pewnym momencie miałam wrażenie, że niecierpliwie usiadłam i chciałam się poprawić na krześle. Nagle usłyszałam cichy trząsk w kręgosłupie i uczułam dojmujący ból. Nie mogłam się ruszyć, pociesniało mi w ośmiach ale całą wysiłkiem woli dalej mówić jak gdyby nic się nie stało. Skończyłam wreszcie, odczuwałam z ulgą, że już wykonałam swój obowiązek i usiłowałam z trudem wstać z niewygodnego krzesła. Próbowałam jeszcze wziąć udział w dalszej części zebrania, lecz promieniujący ból w obu kolanach wznagał się z każdą chwilą i odbierał mi władzę w nogach. Myślałam początkowo, że to zwykły postrzał - a zatem trzeba będzie pojechać z tydzień, aby się tylko jakoś tam dostać do domu, do Szczecina. Nie będę opisywać gehenny tych godzin, kiedy stałam na zimnym wietrze, czekając na nieco spóźniony aut bus, ani oszałamiającego bólu w kałodoracowym podskoku autobusu na wybojach szosy. Tego nie da się opisać.

Tak zapoczątkowana nowa choroba prześladowała się prawie trzy miesiące, nie obeszło się bez szpitalnego leczenia i długotrwałej po nim kuracji ambulatoryjnej w gabinecie reumatologicznym im. Pałowa.

W końcu wykaraszłam się z tego incydentu - pracowałam nor-

malnie, obowiązując z bliskim czasem przybywało, ale była pełna energii i nadziei, gdyż środowisko inteligentkie i bytowe nie dawało powodów do rozczarowań czy niezadowolenia. Dobrze mi się pracowało. Pomagałam w dalszym ciągu siostrze, jak tylko mogłam, gdyż ona bez wyuczonego zawodu, nie była w stanie zapracować na to, by podreperować budżet domowy, skoro spoczywał on tylko na barkach szwagra. A on pracujący w Zjeźdźczeniu Energetycznym jako kierownik techniczny warsztatów transformatorowych stosunkowo mało zarabiał, więc kruczo nieraz było z finansami. A ja byłam przecież sama, więc naturalnym porządkiem rzeczy do mnie należała pomoc.

Ale wracam do dalszych moich losów. Natura obdarzyła mnie wyjątkową przekorą i uporem. Gdy tylko poczułam się lepiej po tych ostatnich chorobach, zaczęłam sobie korcić, aby podnieść swe kwalifikacje zawodowe. Nie wystarczały mi kursy bibliotekarskie: jeden dla kierowników bibliotek powiatowych, drugi - dla pracowników technicznych bibliotek naukowych. Było mi tego za mało. Odżyły dawne marzenia o ukończeniu studiów wyższych. Uznałam się intelektualnie na siłach, żeby podjąć wymogom uniwersyteckim. O dokonaniu studiów filologicznych przestałam marzyć, bowiem artysta serca jako podarek po przebyciu tyfusu nie pozwala mi na śpiewanie. Zaczęłam myśleć o Poznaniu - o znanych studiach humanistycznych, które też mnie pociągają. I nagle, zupełnie przypadkowo dowiedziałam się, że od roku już działa we Wrocławiu na uniwersytecie 5-letnie szesnastoletnie Studium Bibliotekoznawstwa dla Pracujących jako jeden z kierunków Wydziału Filologicznego. Jest to jedyne studium w Polsce, bo w tego zakresu studiów są tylko 2 dalsze katedry tzw. stacjonarne /Wrocław - Warszawa/. Właśnie jest natów na nowy rok akademicki.

Wiadomość ta podarowała mi jak błogosławieństwo. Szybko zrobiłam notarialny odpis wszystkich potrzebnych mi dokumentów i wraz z podaniem wysłałam na los szczęścia do Wrocławia. Nie znałam tam nikogo, nie miałam żadnego poparcia, a liczyłam się z tym poważnie,

że podejmuje ci, skie, długoletnie studia w 43-ym roku życia. Ale przyrzekłam sobie stanowczo, że jeśli miałam egzamin wstępny i zostałam przyjęta na to doświadczenie, wszelkimi staraniami, to cały wolny czas poświęcę tylko i wyłącznie na naukę. Nic dla mnie w życiu już nie było ważniejszego od tego, co samierzałam zrobić.

Ze wzruszeniem i bijącym sercem otworzyłam list z uczelni zawiadamiającej mnie o dopuszczeniu do egzaminu wstępnego.

Ważniejsza do podania opinia z zakładu pracy była jak najlepsza, ale w rzeczywistości nikt nie wierzył w urzeczywistnienie mych zamiarów. Z pobłażliwością odnoszono się do mnie, kiedy o tym mówiłam. Najbardziej straszącym zdaniem, jakie wtedy słyszałam, nawet od najlepszych przyjaciół, to: - "porywasz się z motyka na skódec" - albo: "kobietko, w tym wieku, z taką przerwą od nauki, po tylu latach i tylu przeżytych chorobach? Zastanów się na zimno" - No cóż! Każdy sądzi według siebie. A ja czułam wewnętrznie, że poddam obowiązkowi i dam radę dojechać na seanse te blisko 400 km. dzielących Szczecin od Wrocławia. Myślałam tylko uzyskać przyjęcie, to reszta na pewno się ułoży. I choć nie wiedziałam wtedy o szerokiej wachlarzu nagaśdzeń z różnych humanistycznych dziedzin wiedzy, to sam fakt w uczestniczeniu tego tajemniczego misterium jakim są wykłady i studia uniwersyteckie - napełniał mnie takim błogim uczuciem radości, że śpiewał mi się całe ciało na cały głos. Byłam gotowa wszystkie krzywdy, jakie poprzednio doznałam - przebaczyć, zapomnieć, cały świat uściskać ze potrzebą kontaktu z nim.

I choć jako wytrawna prelegentka, umocniona od szeregu lat w świadomości ludzkiej, doniesłość przemian, jakie naszkły i nasco- dzą w dalszym ciągu w naszym kraju wraz z nowym ustrojem państwo- wym w życiu narodu - to jednak dopiero teraz odświeżam co właściwie znaczą słowa - "demokracja życia społecznego" - "oświata dla nas" - "Polska krajem ludzi kształtujących się". Dopiero teraz w pełni doceniam znaczenie tych słów i ich wagę, rzucającą na losy obecnych

i przyszłych pokoleń. Dopiero teraz, kiedy sama stanęłam oko w oko z problemem możliwości zdobycia wyższych kwalifikacji bez ograniczeń z jednym tylko warunkiem, by się uczyć, w przepisany terminie zdać odpowiednie egzaminy - sprawdziany zdobytych wiadomości i umiejętności. Otrzymałam z zakładu pracy 10 dni ustawowego urlopu celem przygotowania się do egzaminu wstępnego. Te 10 dni to pomost łączący mnie z matką, składaną kilkadziesiąt lat temu, a czasem teraz - nieżywą, czasem, w którym zaczęłam długoletnie, ciężkie i wyczerpujące studia wyższe.

Siobyłam się na najwyższy wysiłek, jaki tylko mogłam, bo przez kilkanaście godzin dziennie bez przerwy powtarzałam wiadomości objęte programem egzaminów wstępnych. W dodatku w skutek niedokładnej informacji co do wymagań egzaminacyjnych, powtórzyłam oprócz historii Polski, historię powszechną Europy w wszystkich okresach począwszy od starożytności.

W głowie mi buchało - wiadomości przewalały się w mózgu w jakiejś szalonej sarabandzie, bo oprócz historii państwa, trzeba było powtórzyć historię literatury polskiej od Galla Anonima począwszy.

Z tak naładowaną mózgownicą, a właściwie z intelektualnym mentlikiem w głowie - pojechałam do Wrocławia, obcego miasta, nie znająca przepisów obowiązujących na wyższej uczelni. Nie traciłam jednak odwagi, opanowana byłam, wprost maniackalnie jedną myślą - muszę zdać, i to dobrze zdać, bo na pewno konkurencja będzie duża, gdyż cały kraj przecieś zjechał się tu do Wrocławia na te specjalistyczne studia. Kandydatów było sporo. Jedni odpadli przy egzaminie pisemnym, inni przy ustnym. Ale i tak została gromadka 30-ciu osób, którzy przeszli przez szerokie sito pytań egzaminacyjnych. O dziwo! Nazwisko moje było na liście zdanych.radość moja nie miała granic, choć wcale nie wiedziałam czy zostanę przyjęta skoro

tylko 40 miejsc było wolnych. W każdym razie wróciłam do domu pełną radosnej dumy, bo znalazłam bardzo dobrze. Zdziwienie u moich znajomych - "słodko-kwaśne" miny u moich przełożonych, no bo te wyjeżdżały na sesje i zastępstwa na czas nieobecności. Budzono się jeszcze że nie zostaną przyjęte z braku miejsca. Szukałam na decyzję uczelni z drżeniem serca. Własnym ośmieszaniem nie wierzyłam w sierpień, gdy otrzymałam świadomienie o przyjęciu, i wyznaczeniu daty pierwszej sesji wraz z uroczystym rozpoczęciem roku akademickiego i immatrykulacją nowych studentów.

W moich znajomych jakby gros uderzył. Lawrało jak w ulu. Nie zwracałabym na to absolutnie uwagi, gdyby nie zależała stosunki moich znajomych. Zaczęło robić trudności z delegacjami i wyjazdami na sesje, bo wtedy kierownik musiał mnie zastępować. Zaczęło utrudniać mi życie w różny możliwy sposób. Chodziło o to, abym sama zrezygnowała ze studiów. I po trzech miesiącach sesyjnych wyjazdach zaczynałam się nerwowo, przestałam sypiać, martwić się. Naturalną kolejną kolejną skończyła się to ogólną nerwicą organizmu i urlopem dalekim. Leczyłam się bardzo intensywnie pracując normalnie, nie nie wspominając o urlopie z uczelni. Wyślano, że zrezygnowałam z nauki. Ale wiadomo, duch że mnie niespokojny i nader uparty. Po roku wróciłam na uniwersytet. Tyle tylko, że nerwy miałam mocno nadzwyczajne. Pod doskonałą i kilkuletnią opieką lekarki /wspaniałego osteopaty/ doszedłam do takiego hartu woli i równowagi ducha, że żadne potem niespodzianki nie zdołały mnie zawrócić z naszej obranej drogi, tym bardziej, że nauka nie sprawiała mi żadnych trudności, przeciwnie, z dnia na dzień stawała się moją pasją życiową.

I tak koncentrując całą swą uwagę na dążeniu do naszego wytyczonego celu - przemyślałam nad tym, w jaki sposób poprawić sobie warunki do nauki.

Tu muszę zrobić małą dygresję. To, że się nie zalecałam

kompletnie, że nie zrezygnowałam z tak dobrze zapoczątkowanych studiów - zawiązałam starszemu o 3 lata, jedynemu pozostałemu z trzech braci, bratu J [redacted]. To on właśnie poradził mi wrócić się do uczelni o urlop dziekański. To on pomagał mi dobrym słowem w przetrwaniu najcięższego okresu choroby i przerwy w nauce. To on wreszcie utwierdził mnie w przekonaniu, że powinna się uczyć i pokonywać spokojnie przeszkody, jakich mi nie stworzono przez wszystkie lata nauki.

Wróciłam do dalszych losów moich studiów. Dowiedziałam się, że Kurator um OSS lansuje z nowym rokiem szkolnym obsadzanie bibliotek szkolnych statami bibliotekarkami. Szybko więc zdecydowałam się na przeniesienie do szkolnictwa. A że w tym okresie kuratorem był mój były dyrektor z Państwowego Liceum Pedagogicznego ob. dr Bolesław Sadaaj, więc sprawa ta nie przedstawiała żadnych trudności. I tak się zaczęła moja trzyletnia służba biblioteczna w szkolnictwie. To był bardzo ciężki i ciekawy okres w moim życiu. Ale przeszedł jak inne, sama nie wiem kiedy!

Była to znova do pewnego stopnia pionierska praca. Statowe bibliotekarstwo szkolne w przeciwieństwie do publicznego - nie miało tradycji, wyrobionych metod i form pracy z księzką i młodocianymi czytelnikami, szczególnie tu na Górnym Śląsku. Stąd eksperymentowanie i inicjowanie rzeczy od tego momentu.

Nie wiem, czy to był traf, przypadek, czy zaplanowane podziwca "dyplomatyczne", że w nowo wybudowanej szkole, w dzielnicy portowej, tam gdzie mi wyznaczone placówkę biblioteczną - kierownikiem szkoły był mój były uczeń sprzed 10-ciu lat, właśnie z Liceum Pedagogicznego. Nie był chyba entuzjastą swojej byłej nauczycielki, bo z zamiłowania i miłośności był matematykiem. Sprawy stosunki służbowe były między nami zupełnie poprawne, ale niestety - szkole moja była przez to pedagogiczna. Nie chciało pani tu, że od wielu lat jestem tylko bibliotekarką. W efekcie miałam ciągle

sastępstwa za dobre koleżanki na lekcjach w poszczególnych klasach - a moja praca biblioteczna w tym czasie "leżała". A przecież ob-
jęta była powoik z kilkudziesięcioma pakami książek, swalonymi na
stos, tak jak je przywieziono z księgarni. To nie była biblioteka,
to był skład nie przysposobionych technicznie do wypożyczenia książ-
sek.

Kto nie parał się pracą bibliotekarską, ten nigdy nie pojmie
mrowczą, nie-efektywną pracę, bardzo czasochłonną i bardzo dro-
białowatą. I kiedy to trzeba było robić, jeśli czasem, szczególnie
w sezonie jesienno-zimowym, miałam dniennie po kilka zastępstw.
Uczywiście moja normalna praca techniczna odbywała się najczęściej
w czasie wolnym, w tym czasie, który oznaczał przeznaczony wyłącza-
nie na naukę, na przygotowanie prac pisanych, kontrolnych z poszcze-
gólnych dziedzin wiedzy objętej programem studiów. A było tych
przedmiotów do zdawania w każdym semestrze po 6, 9, 11. Więc co mi po-
zostało? Uczył się tylko nocami. To też nigdy nie kładłem się wese-
lniej, jak o drugiej, trzeciej, a nie rzadko o czwartej nad ranem.
O ósmej zaś rano już trzeba było być w szkole. Nie wysypiałam się
wice całymi latami, ale to sprawa normalna przy tego rodzaju try-
bie życia.

Co jeszcze utrudniało ogromnie łączenie pracy zawodowej z
nauką? Brak zaplecza humanistycznego w postaci własnej biblioteki
naukowej tego typu. To bardzo ważna przeszkoda w uzupełnianiu wia-
omości, szczególnie jeśli chodzi o materiały źródłowe i poważne
opracowania naukowe. Istniejące ówczesnie dwie biblioteki tego ty-
pu tj. Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna i Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna tylko w minimalnym stopniu mogły zaspokoić
moje zapotrzebowanie na dzieła naukowe. Pozostawało tzw. wypożycza-
nie międzybiblioteczne z innych ośrodków naukowych w kraju. Ale
to nie była sprawa. xxxxxxxx Rezerwy przychodziły z kilkutygo-
dniowym opóźnieniem i to najczęściej załatwiane odrocznie. Jeden

czy dwa egzemplarze danego dzieła to przecież za mało na własne potrzeby, a cóż dopiero mówić o innych, obcych. Postawiała więc ostatnią możliwość - szukać we wrocławskich bibliotekach podczas sesji lub specjalnie po to dodatkowo wyjechać. I tak też się robiło. W praktyce więc co miesiąc pokonywanie 400 km. przestrzeni tam i z powrotem w ścisiku, nieraz dosłownie na jednej nodze. A po nie przespanej całonocnej jeździe - normalna praca zawodowa. I to ciągłe napięcie nerwowe, żeby na czas wykonać prace kontrolne, żeby dotrzymać terminu kolokwium lub egzaminu.

Tak to trwało trzy lata, lata najgorętszego przesiewu, gdyż wymagania profesorów w stosunku do studentów zaczęły być daleko większe, tłumaczone większą masą dojrzałością umysłową i większym dyscyplinowaniem w nauce.

Bo cóż, za wszystko się płaci, nawet za swoją dojrzałość, za swoje dobrowolne hobby naukowe.

Skoro skończyło się trzeci rok studiów, wiadomo już było, że dany student powinien dotrzeć do końca. Jakim zaś się to odbywało kosztem? A cóż to kogo obchodziło? I czy w ogóle kogokolwiek obchodził los biednego studenta mącznego, szczególnie zaawansowanego wiekiem, choćby zdawał egzaminy jak najlepiej? Smutne doświadczenia na tym polu nauczyły mnie jednej ważnej rzeczy, a mianowicie, że mogą liczyć tylko na własne siły i sielność. A tych sił z każdym rokiem ubywało. Odbijały się na zdrowiu nie przespane noce, uciążliwe podróże, brak urlopów wypoczynkowych, bo te przeznaczano się na naukę. Na naukę dniami i nocami. Ale świętość w sercu była wielka i mocne postanowienie dokończenia studiów bez względu na okazy jakie trzeba ponieść. To też nie wahałam się ani chwili, gdy nadarzyła się okazja przeniesienia się do Wrocławia. Stawiałam wszystko na jedną kartę. Rzucałam wszystko; znane miasto od 1945 r., szerokie grono znajomych, mniejsze ale dobrane grono przyjaciół, niekiedy jeszcze z trudnych, wspólnych czasów pionierskich, kiedy

to życie w zamkniętym świecie było jedną wielką niewiadomą. Zosta-
wiałam swoich najbliższych, mieszkanie, słowem swoją całą stabili-
zację, a wszystko dla jednego celu - dla studiów. Wszystko po to,
by jako wysoko wykwalifikowany pracownik w swoim zawodzie służyć
społeczeństwu, by młodszymi przekazać masom wiedzy, doświadczenia,
praktyki.

Tak wówczas myślałam, gdy decydowałam się na wyjazd do Wro-
cławia. Było to w połowie 1961 roku.

Tym zianiem mogłabym zakończyć pierwszą część swych wspomnień
- sankcją sześciomiesięczny okres mego życia w powojennych warunkach...

.....

ROK 1970. PERSPEKTYWICZNE PLANY PRACY BADAWCZO-NAUKOWEJ.

Od przeszło roku jestem już po dyplomie magisterki. Pierw-
szy stopień zdobyty! I co dalej? Już w trakcie zdawania niektórych
egzaminów końcowych wysławiano pod moim adresem sugestie, a nawet
konkretne propozycje dalszej nauki, pracy publikacyjno-naukowej.
Myśl ta przyswiewcała mi już od 4-go roku studiów i nie zginęła na-
wet w trudnych chwilach przymusowej bezczynności podczas szpital-
nego leczenia/silny nawrót dolegliwości reumatycznych/. Ale za dużo
wtedy miałam do pokonania trudności, aby rozstrzaniać swe siły, dla-
tego dopiero teraz mogę projektować dalszy swój los, który nieodwra-
calnie związanym z dalszą nauką.

Wobec długoletniej pracy w bibliotekarstwie powszechnym -
onoć może dostanę pracę w instytucji naukowej - postanowiłam zebrana
ne latami spostrzeżenia i doświadczenia wykorzystać w najbliższych
pracach publikacyjnych, które otworzą mi drogę do pozycji samodziel-

nego pracownika naukowego. Choć wiekiem jestem już zaawansowana, ale że siarowie mi jak na razie dopisuje, a intelekt pracuje na pełnych obrotach, więc uważam, że grzeszeniem byłoby marnować takie atuty, które dadzą mi satysfakcję z dobrze przeżytego życia. Nie smaruję je, przeciwnie, wykorzystam do maksimum zdolności, wiedzę, doświadczenie, by na najbardziej szanym mi polu działania służyć społeczeństwu do końca.

Sprawa ta nabrała już konkretnych kształtów i właściwie mam na przyszłe lata wytyczony kierunek działania. A więc zdecydowałam się na zrobienie drugiej specjalizacji tj. socjologii czytelnictwa /pierwsza to historia dawnej książki/.

Usgodniłam już w Instytucie Bibliotekoznawstwa z Dyrektorem Prof. Dr A. K., że pracami moimi kieruje Prof. Dr G., szanuj na tutaj są terenie naukowiec i moją byżę wykładowca w dziedzinie historii bibliotek. Zaakceptowane przez Dyrektora Instytutu trzy tematy do prac publikacyjnych wymagać ode mnie będą pracy, ale dadzą mi przy tym i sporo radości. Bazują one w 90 % na dotychczasowej mojej pracy zawodowej. Oczywiście, o ile zmienię nieszyt dla mnie wygodne warunki pracy, tym większe będą miała możliwości, ~~zrealizować~~ by w ciągu następnych 2-3 lat zrealizować wymienione zamiary. Jeśli nadal będę się borykać z trudnymi warunkami bytowo-zawodowymi, to naturalnie okres przygotowania materiałów do druku ulegnie nieco przedłużeniu.

Być może, że po uzyskaniu stopnia naukowego, na warsztat swej pracy badawczej-naukowej oprócz problematyki socjologicznej wezmę również i zagadnienia z historii dawnej książki. Powszechnie to bowiem wiadomo, że na bazie kultury przeszłych wieków tworzy się kultura współczesna. Jest to zresztą nieprzerwany ciąg historyczny, w którym ma swój ważki udział książka, szczególnie drukowana. Dlatego też ta dwukierunkowa praca naukowa jakiej zamierzam się poświęcić, będzie syntezą i ukoronowaniem mego życia. Prace socjolo-

giczne z zakresu czytelnictwa, rejestrujące na bieżąco zmiany i przeobrażenia mentalności społeczeństwa polskiego, to tworzenie w teraźniejszości oraz prace z zakresu historii książki, będącej wykładnikiem kultury polskiej dawnych czasów i jej wkładem do wkładu w kulturę ogólnoludzką - oto, co mnie fascynuje i napełnia mnie moim przekonaniem, że właściwie sużytkowałam wiedzę zdobytą na uniwersytecie, że równocześnie utwierdził mnie w przekonaniu, że uiszczę w ten sposób dług wiarygodności i w stosunku do moich byłych profesorów, których tu musiałabym w jakiejś długiej szeregach wymienić. Są to wspaniali ludzie nie tylko dlatego, że tak wielką i wszechstronną wiedzą się odznaczają, ale przede wszystkim dlatego, że uciekli w swoich podopiecznych zamoczyć na stałe "bakoyl", które-
mu na imię NAUKA.

Z tych moich planów na przyszłość wynika, że snomi większą część wolnego czasu poświęcę nauce i na tzw. rozrywki niewiele go pozostanie. I to jest dobrze. To pomaga utrzymać się w stałej równowadze duchowej, w takim pogotowiu intelektualnym, to wreszcie sprawia, że czuję się pełnowartościowym człowiekiem bez względu na okoliczności zewnętrzne.

Komu to wszystko ma do świadczenia/pomijając mój osobisty wysiłek/???

Nie trudno zgadnąć! Ustrojowi dzisiejszej Polski, który stawia każdego człowieka przed nieograniczonymi wprost możliwościami. Nieograniczoność jest pojęciem wprawdzie względnym - w tym wypadku granice narzuca umysł i jego zdolności. Ale, czy mogłam marzyć przed 1939 r. o tym, by w 60-tym roku życia mieć jeszcze przed sobą takie perspektywy naukowe? Starsze pokolenie pamięta przecież dobrze ekskluzywny i elitarny charakter nauki. Tylko nieliczni uważali się za wstęp na ten parnas. A rygory i ograniczenia/census wieku, pochodzenia, majątku itp./ stosowane wtedy nie mogły dać najmniejszej szansy uczenia się człowiekowi po 30-ku.

Dziś te wszystkie zapory nie istnieją. Człowiek po prostu może wszystko zdobyć, jeśli tylko ma za sobą siłowności, energię i pracowitość. To już dzisiaj jest truizm. I dlatego z ufnością i spokojem patrzę w przyszłość.

Uzas teraz zajęć się bardzo poważnym problemem, który wyrzucił nas z naszego życia niesatartym znaczeniem i przesobraniz całkowicie w całości świadomości kroczącego ku socjalizmowi.

Lata całe byłem pod tym względem obojętna. Jeśli poświęcałam się pracy społecznej to było to zgodnie z moim wychowaniem, z moją tradycją rodzinną, ale nie byłem w pełni świadoma przyczyn, dlaczego tak, a nie inaczej postępuję, jakie racje mnie do takiego postępowania skłaniają. Wszystko zaczęło się dopiero po 1945 roku.

A jak to się stało o tym za chwilę, na dalszych kartach tej historii.

ROLA ZJEDNOCZONEGO STRONNICTWA LUDOWEGO W MOIM ŻYCIU.

/Na przestrzeni ostatnich 25-ciu lat/.

Krótką syntezę tego czym dla mnie było i jest Stronictwo Ludowe zamieściliśm zaraz na początku wspomnień. A teraz pora na szczegółowe przedstawienie jak kształtowała się moje świadomość obywateli a czasem i aktywistki pracy społeczno-politycznej w szereżach najpierw SL-owskich, a po zjednoczeniu w ZSL-owskich. A przede wszystkim, jak to się stało, że znalazłam się właśnie w tych szereżach a nie innych, bo przecież nie pochodzę ze wsi, a z miasta?

Na to by został osłonkiem Stronictwa Ludowego stały się kilka przyczyn. Najważniejszą z nich była chyba długoletnia przynależność średniego brata w [redacted] jeszcze z okresu międzywojennego.

o bracie tym wspominałam już przy okazji omawiania moich pionierskich dni w Szczecinie. Tutaj tylko nadmienię, że o ile specjalnie nie odczuwałam potrzeby pracy społecznej w ramach jakiegokolwiek organizacji, bo bardzo dużo społecznie pracowałam, że się tak wyrażę indywidualnie jako nauczycielka w okresie międzywojennym, a częściowo w tajnym nauczaniu podczas okupacji, to obecnie po tragicznej śmierci brata musiałam, że jednostka nie może nie zrobić, ani nie naprawi, bo jest za słaba, żeby przeciwstawić się zorganizowanemu złu.

Ruch ludowy i to ten o bardzo radykalnym zabarwieniu, nie był mi obcy z tego względu, że miałam zawsze ciągłe kontakty z bratem XXXXXXXXXX. A szczególnie wtedy, gdy lata całe był bezrobotnym/miał bonę ze wsi i tam też mieszkał - Osiek k. Wieruchowa/. Bardzo często dowiedzałam ich, utrzymywałam korespondencję i w miarę swych skromnych sił pomagałam im bądź finansowo, bądź zapatrywałam w potrzebną odzież. W czasie spotkań z bratem prowadziłyśmy też długie "nocnych redaków rozmowy", w których poruszałyśmy doskonale wszystkie problemy, a wśród nich najbardziej palący, najbardziej nas obchodzący - problem bezrobocia, bo i drugi brat najaktywniejszy, Jerzy, który miał za sobą szkołę rolniczą i leśniczą, również czasami bywał bezrobotny na skutek likwidacji stanowisk inspektorów kontroli mleczności a nieśli pracował.

Znałam poglądy brata, choć wtedy jako bardzo młoda osoba, rojąca o sukcesach na polu muzykologii, niewiele uwagi poświęcałam tym zagadnieniom. A że wówczas kompletnie polityką się nie zajmowałam - uważałam, że tak być musi i tacy ludzie jak brat nie nie robią, bo za sobą nie mają ani kapitałów, ani stosunków, ani odpowiedniego wykształcenia. Zdawało mi się, że tylko ludzie wysoko intelektualni stojący zdolni są przekształcić świat, a przynajmniej zmienić coś w stosunkach międzyludzkich. Oczywiście na ten temat nie mówiłam z bratem, by go nie musiał rozstrząsać, gdyż tak ideowo

był zaangażowany w tę swoją pracę/siedział 9 miesięcy w więzieniu wierszowski jako tzw. "niebezpieczny bandyta", że miał się było sprzeciwić się z nim.

Ale po jego bezsensownej śmierci jakoś zacząłem się zastanawiać czy nie wejść na jego miejsce w szeregi ludowe, by choć w części wypełnić tę lukę, jednocześnie zdawałem sobie doskonale sprawę z ogromnej różnicy między nami. On był wytrawnym działaczem, zahartowanym w pracy konspiracyjnej z czasów okupacji, a ja pod tym względem "tabula rasa".

Drugim powodem, który mnie skłonił do wstąpienia do Stronnictwa Ludowego to była zachęta i namawianie ze strony najbliższego brata J. [REDAKTOWANE], jak już wspominałem rolnika z wykształcenia, przed którym po wojnie otworzyły się nowe perspektywy pracy w unifikowanym zawodzie /zootechnik/ a który wcześniej ode mnie zapisał się do Stronnictwa, gdyż uważał, że tylko tam jest jego miejsce.

Następna również ważna powodem były rozmowy na ten temat w latach 1946/47 podczas mojej pracy w Kuratorium OSS z byłym moim profesorem matematyki z średniej, lwowskiej jeszcze szkoły. Był on wtedy naczelnikiem Wydziału Szkół Średnich - a znając mnie prawie od daleka, on właśnie onciał mnie widzieć w tym szeregu pracowników społeczno-politycznych, do których należał i on. A jak dawniej prof. Wincenty Lewicki miał na mnie przemożny wpływ.

I jeszcze jedna myśl skłaniała mnie ku temu, by w pracy społecznej poświęcić się dla wsi. Wprawdzie myśl ~~stankowa~~ ta miała trochę przekorną postać, ale sądziłem, że dziś tak samo myślałabym, jak wtedy przed ~~okupacją~~ dwudziestu z górą laty. Osiem tak się skończyło, że od 3 lat przed wybuchem drugiej wojny światowej pracowałem w szkołach wiejskich. I choć na skutek zmian rodzinnych w lecie 1939 roku miałem się przenieść do rodzinnego Lwowa, to jednak wybuch wojny uniemożliwił mi to i wojna stała mnie na wsi, gdzie ostatnio pracowałem w jednoklasowej

szkole. Lata okupacji wspominałam ze zgrozą i smutkiem nie tylko z powodu śmiertelności ogólnonarodowej, ale i z tego powodu, że tamtejsi ludzie uczyli mi bardzo dużo krzywdy, wprost nie do naprawienia i koszmar wojny stworzyli mi podwójnie ciężki. Nie chcę o tym pisać, bo to sresztą nie należy do tematu niniejszych wspomnień. Ale jakby na przekór tym wszystkim tragicznym przeżyciom wojennym, postanowiłam właśnie wstąpić w szeregi ludowe, by na doświadczeniu z jeunej wsi nie budować sobie obrazu wsi polskiej jako takiej. Zdawałam sobie przecież z tego sprawę, że byłoby to nonsensem. Z drugiej strony zaciekawiła mnie społeczność wiejska. Chciałam ją poznać, jaką ona jest na prawdę.

Taka byłaby mniej więcej geneza posadzków mojej przynależności do Stronnictwa. Czy sążuję tego kroku z r. 1946? Nie! Absolutnie nie! Przeciwnie - poszerzył mi się horyzont myślenia o zagadnieniu równości społecznej, sprawiedliwości, praworządności itd., itd. Przekonałam się, że tak jak jedna jaskółka nie czyni wiosny, tak ludzie jednej wsi nie mogą przeszkodzić obrazu społeczności wiejskiej i że nie można mierzyć tą samą miarką całego ogółu, na co zasłużony jednostki. A poza tym, że wszędzie są ludzie, ludziska i mali, bardzo prymitywni w swoim myśleniu i działaniu ludzkim. Jakieś generalizowanie w ocenie postaw ludzkich byłoby tu nie na miejscu.

W szeregach Stronnictwa Ludowego/a po sjednoczeniu w ZSL/stopniowo, coraz bardziej poznawałam prawa, które rządzą i tą wielką polityką i tą małą. Wśród grona przyjacielskich koleżanek i kolegów dochodziłam do pełnej świadomości swego miejsca w kraju i swojej Ojczyzny w świecie. Ze wszystkich - sresztą jak najbardziej szlachetnych - założeń programowych mego serca i umysłu dwa z nich, a to: walka ludzi o utrzymywanie pokoju w Polsce i na świecie oraz przekształcenie mentalności ludzkiej w kierunku wzajemnej współpracy i pomocy w budowie lepszego, spokojnego i jasnego jutra dla ludzi na całej kuli ziemskiej. I tej problematyce oddałam swe siły

i zdolności bez reszty czy to w pracy społeczno-politycznej czy zawodowej, czy wręcz w swoim małym prywatnym życiu, wśród najbliższych i otoczenia z którym stykam się na co dzień.

Dzień za dniem, rok za rokiem, szłam uparcie tą drogą, a nie była to łatwa droga. Nieraz kaleczyłam swą wrażliwą duszę, bo albo nie umiałam się jeszcze dość jasno rozseparować w tym pogmatwanym konglomeracie ludzkich dążeń i aspiracji, albo nie zawsze umiano mi właściwie wyłożyć racje i udowodnić słuszność takich, a nie innych poczynań. Mam wrażenie, że w tych gorących, powojennych czasach - wszyscy od wszystkich uszyli się i przyswajali tę wielką prawdę, że człowiek powinien być człowiekowi bratem i że jedynie tylko ta idea ma rację bytu, jeśli chcemy uchronić świat od zagłady a siebie od ostatecznej klęski.

W szereguach ZSŁ-owskich znalazłam odpowiedź na różne mnie dręczące pytania i wątpliwości, bo wcale nie jestem stworzona z marmuru. I nie udało mi się wszystkim bezkrytycznie przyjąć wszystkiego z góry, z nakazu, drogą przemocy i autorytatywnego narzucenia. Do pewnej postawy, czynnej wobec zachodzących zjawisk i przemian społecznych dochodziłam poprzez własną myśl analityczną, własny osąd, który był częściowo wynikiem mego wychowania w domu, w szkole, gdzie wpojono mi na całe życie takie hasła i wskazówki moralne, które nakazują, by nikomu nie robić krzywdy, a we wrogu nawet dopatrywać się jakichś cech pozytywnych/pomijam tu osobniki społeczne i zdecydowanie nieludzkie w swoim postępowaniu, nie mówiąc już o zewszerszeniu./

I muszę tu z całą stanowczością podkreślić, że w Stronie twierdzącej nie spotykałam się z metodą nacisku, narzucenia przymocą ideologii, a raczej z metodą wyjaśniania, tłumaczenia i przekonywania. Zawsze stawałam przed możliwością wyboru. I to właśnie zdecydowanie, że choć nieraz były dla mnie ciężkie czasy, to jednak wytrwalam przetrwalam i nie mam zamiaru opuścić swojej zielonej drogi do

sojalizmu.

Miałam docenienia moich skromnych wysiłków w dziedzinie zawodowej i społeczno-politycznej ze strony Władz Stronnictwa - były dyplomy, podziękowania, wyróżnienia ukoronowane w 1959 roku dwukrotnie /w kwietniu i lipcu/ przez nadanie mi odznaczeń: Srebrnego Gryfa Poznańskiego i Złotego Krzyża Zasługi.

Byłam wtedy niezmiernie warussona, gdyż był to okres najtrudniejszy w mojej "karierze studenckiej". S najwiękzym nakładem sił salicowałam semestry poszczególnych lat z wynikami bardzo dobrymi i dobrymi. I nie ras, gdy mi w zniechęceniu ręce opadały wobec tych przeszkód, jakie miałam do pokonania - brałam do ręk te widome znaki doceniania mnie jako oszkowiska i obywatela swojego kraju i lżej mi się jakoś na sercu robiło i znowu gobilizowałam swoją wolę do dalszego życia, do dalszej walki o słuszną drogę postępowania.

Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że w szeregach Stronnictwa zawsze odnyskiwałam wiarę w oszkowiska, gdy wiara ta słabła w obliczu codziennych podłości ludzkich. Szczególnie bardzo wiele mam do zawdzięczenia koleżance z naszych szeregów, K [redacted] [redacted]. Ten wypróbowany i zahartowany oszkowisk, był tym, którego potrzebowałam, aby właściwie i prawidłowo rozumieć się w splocie zjawisk społecznych, nie zawsze o optymistycznym wydźwięku. Koleżanka K [redacted] była tą, która wyjaśniała, tłumaczyła, radziła, tą która jeśli trzeba było - broniła, a przede wszystkim umocniała we mnie określoną postawę. Nasze długie, nie raz późno w noc kończące się rozmowy pozostały zawsze w mej pamięci, jako cenne wartości, zawsze aktualne. Dlatego w tego tu miejsca pragnę jej raz jeszcze jak najserdeczniej podziękować za to wszystko, czym była dla mnie w okresie szczecińskim. I jakkolwiek dzieli nas znaczna przestrzeń fizyczna to duchowo zawsze pozostaniemy sobie bliskie, owiane wspólnymi ideałami.

Wracając do roli ZSL-u w moim życiu, stwierdzam, że jeszcze

za mało zrobikam dla Stronniotwa i marzeniem moim jest oddać zdobytą wiedzę w służbę stronniotwa, gdyż służę w ten sposób i swojej Ojczyźnie.

Moja więc praca tak naukowa jak polityczna będzie dowodem że rentuje się kapitał zaufania, jakim mnie w wieloletnich szeregach obdarowano. Bo pozyskać czyjeś zaufanie to wielka rzecz - tak, jak wielką rzeczą jest dobrze i pożytecznie przeżyć swoje życie.

ZAKOŃCZENIE

Zdaje mi się, że tak właśnie przeżyłam ubiegłe ćwierćwiecze i choć sama nie należę do rodziny, to biorąc żywy udział w życiu rodzeństwa i najbliższej społeczności, w której mi wypadło żyć - starałam się być użyteczną, na miarę skromnych sił.

Jak wspominałam - mam brata i siostrę - obywateli mieszkają w Szczecinie. Ważność two brata jest bezkwestyjna. Bratowa jako starszy ekonomista przed 4-ema laty przeszła na zasłużoną emeryturę z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego, a brat dobiega wielki emerytalnego na stanowisku st. inspektora produkcji zwierzęcej Wydziału Rolnego WRM. Moim zdaniem w Szczecinie od 1946 roku ułożyło się życie jak najpomyślniej. Ucieszył się, że od wielu już lat nie grozi bratu widmo bezrobocia. Jest lubiany i szanowany za swój charakter i wielką pracowitość tak w gronie współpracowników jak i władz przełożonych. Miara jego zasług są odznaczenia, które otrzymał a to: Złoty Gryf Pomorski i Złoty Krzyż Zasługi.

Siostra zamężna, ma dwóch synów dorastających, z których starszy poszedł śladem ojca i jest energetykiem/w tej chwili odbywa obowiązkową służbę wojskową/ a młodszy kończy Zasadniczą Szkołę Chemiczną, uczy się dobrze i jest nadzieja, że wykształcenie swoje zakończy na studiach wyższych. Mąż siostry długo, bo ponad 20 lat pracował w Zjednoczeniu Energetycznym na stanowisku kierownika

technicznego warsztatów napraw transformatorów i w tym czasie ukończył Technikum energetyczne. Siostra pracowała zawodowo bardzo krótko, bo sirowie jej nie pozwalało ani na naukę dalszą, ani na systematyczną pracę zawodową. Z jednej wice pensji /ok. 2500 zł/ trudno było utrzymać rodzinę /4-ry osoby/ to też awantur przetrząsnął się na pracę rzemieślniczo-usługową, wstąpił do spółdzielni i otworzył własny warsztat usługowo-naprawczy, zaczynając od zera, bo nie miał żadnej własnej gotówki. Dzięki ayentliwym kolegom i przyjacielom, po uzyskaniu pożyczki bankowej, jakoś się zagospodarzył. Pracuje ciężko od "witu do nocy, ale dziś rodzina ma być zapewniona, a to jest najważniejsze.

Tak, że o przyszłość swoich najbliższych jestem całkowicie spokojna. A ja - oś - pracując w kulturze, po 25 latach i studiach wyższych zarabiam brutto 2770 zł, z czego prawie jedna trzecia idzie na opłatę pokoju sublokatorskiego we Wrocławiu. Trudno mi zaoszczędzić tyle, żeby stworzyć podstawowy fundusz do spółdzielni mieszkaniowej, bo przydziału na mieszkanie nie dostałam. Żudzę się, że może moje honoraria autorskie z przeszłych prac naukowych pozwolą mi zrealizować marzenia o własnym kącie na stare lata. Przerwała mi tylko kilkuletnie czekanie w kolejce na przydział tego rodzaju mieszkania. Ale w myśl maksymy "niech żyją żywi nie tracą nadziei" patrzę w przyszłość pogodnie. Na raty nabyłam tutaj najpotrzebniejsze mi sprzęty, bo szczęśliwie umeblowanie odstąpiłam rodzinie. Charakter pracy zawodowej sprawia, że odrywam się bardzo nieregularnie - obiadów nigdy prawie nie spożywam o normalnej porze.

Praca i nauka sprawiły, że coraz bardziej odseperowałam się od znajomych, bo przyjaciół tu we Wrocławiu właściwie nie posiadam. Prowadzę raczej samotniczy tryb życia. Radio, prasa, czasopiśma, książki, telewizor, a od czasu do czasu teatr, opera czy koncert wystarczają mi w zupełności. Nie smaczy to wcale, że nie interesuję się tym, co się dzieje gdzieś u mnie i na świecie dokoła. Jako oszronk

ZSL-u biorę czynny udział w statutowych zebraniach i szkoleniach, a z racji tego zawodu przez szereg lat byłem działaczem PZP - zosta-
łem nawet odznaczona z tej racji Odznaką 100-lecia Państwa Polskie-
go. Obecnie raczej nie udzielał się, gdyż brak mi czasu, który w
całości poświęcam nauce. Cięszę się z każdego osiągnięcia mie-
sta, ale myślam wracam bardzo często do Szczecina, miasta moich
pionierskich kroków po wojnie. Tak Szczecin jak i Wrocław z dnia
na dzień pięknieją, rozrastają się i coraz bardziej zaludniają. W
ciągu tych kilku lat pobytu we Wrocławiu w samym tylko osiedlu Gaj-
owice, gdzie pracuję, widzę ogromne zmiany. Budynki tu wyrastają
jak grzyby po deszczu. Wieżowce i murłokowce stają się odroba daniel-
nicy fabryczna, a kiedy wieczorem rozjarza ciemny błękit nieba
tysiącem światełek, mrużających wesoło do przypadkowego przechodnia
tworzą niezapomniany, wielkomiejski krajobraz. Bloki mieszkalne
szybko otaczają się różnokolorowym dywanem kwiatników i trawników o
sposobnej zieleni, na której może spocząć zmęczone oko przechodnia.
Bo Wrocław kocha kwiaty i nie na darmo właśnie w tym mieście od lat
odbywa się coraz piękniejsze Święto Kwiatów, chyba najśliczniejsze
święto w świecie, duma mieszkańców Wrocławia.

Jak już wspominałem, samotniczy tryb życia prywatnego, jaki
prowadzę od wielu lat, nie sprzyja bliższemu sąsiedzi się z sąsiadami
w piątym z rzędu miejscu zamieszkania, to też ludzie z sąsiednich
domków są dla mnie wielką niewiadomą. Nijak ich obojętnie, tak ja
i oni mnie. Natomiast ściślejsze związki łączą mnie z grupą zawo-
dową. Grono koleżanek spotykanych co miesiąc na seminariach szkole-
niowych w Działniczej Bibliotece przez ostatnich parę lat wytworzyło
swobodny zespół społeczny, o charakterze prawie że rodzinnym. Wszycy
o wszystkim o sobie wiedzą, stąd wydarzenia rodzinne jednostek stają
się tematem żywych rozmów i ocen całego kolektywu. Uczymy się - jak
w rodzinie - jedni przypadają sobie bardziej do gustu albo po prostu

z racji bliskości stanowisk pracy żywią się bardziej ze sobą, inni mniej. Mam tu na myśli sgrupowanie 2-on filii w jednym lokalu, tu zespół pracowników jednego działu. Tak się zdarzyło, że moja filia, rozstając się, wyodrębniła oddział ds. kadrowej, w którym od przeszło pięciu lat pracuje koleżanka [REDAKTOWANE], znam ją jeszcze ze wspólnych czasów uniwersyteckich, kiedy to ja ze Szczecina, a ona z Bielsko-Białej sjeżdżałyśmy się do Wrocławia na sesje uczelniane. Dlaczego o tej koleżance choć coś więcej napisać? Bo choć różnimy się nieco w ogólnym światopoglądzie, to jednak, prócz studiów mamy tyle wspólnych stycznych w poglądach na naszą dzisiejszą rzeczywistość, że rozmowy i zabawy nieraz dyskusje, jakie prowadzimy w wolnych chwilach zawsze kończą się porozumieniem obopólnym w kwestiach zasadniczych.

Koleżanka ta to córka hutnika z Górnego Śląska, ideowego socjalistki z okresu strajków robotniczych i walki z wyzykiem w Polsce międzywojennej. Sama od daleka karmiła literaturą tzw. wówczas "zakazaną" w szeregach Czerwonego Harcerstwa, od wielu lat jest aktywnym członkiem Partii. Jej zdrowy, realny stosunek do zagadnień społecznych, z którymi spotykamy się w życiu codziennym - dał mi wiele materiału do przemyśleń i w wyniku ich do zrewidowania swego stanowiska, które było oparte na zupełnej nieświadomości wielu zagadnień. Bo jak już poprzednio wspominałam, ani przed wojną ani podczas okupacji polityką się nie zajmowałam. To też jej relacje o ruchu robotniczym w okręgach przemysłowych G. Śląska oparte bądź na osobistej obserwacji, bądź na opowiadaniach ojca i jego towarzyszy były dla mnie nowością, a nawet rewelacją. Rozmowy te oprócz szkoleń w szeregach PSL-owskich były podstawą do ugruntowania mego uwiadomienia i czynnej postawy w działaniu w obecnej Polsce.

Przecież znam [REDAKTOWANE] ponad 10 lat, a to kawał czasu, by indywidualności nawzajem na siebie oddziaływały. Jej bardzo samo-

działny, a zarazem krytyczny stosunek do zjawisk zachodzących w naszym bliższym i dalszym otoczeniu, jak najbardziej mi odpowiada i jest dla mnie nad wyraz cenny. Wiele jej zawdzięczam, że "wydorobiłam" duchowo.

Poili mnie tylko to, że tak samo jak i ja nie jest w pełni wykorzystana dla dobra społecznego, że choć jest tak wartościowym człowiekiem na ograniczone pole działania, zamkające się w jednej małej filii d. i. s. c. j.

Nie wiem, jak to jest w polityce kadrowej w naszej kulturze, ale zdaje mi się, że suma doświadczeń plus uniwersyteckie wykształcenie specjalistyczno-fachowe powinno być bardziej racjonalnie wykorzystane i to do maksimum, a nie jak się to dotychczas praktykuje - do minimum. Taki jest mój osobisty pogląd na te sprawy, że człowiek nie uczy się dla samej nauki, ale po to, by lepiej i korzystniej mógł służyć społeczeństwu. Porównywanie ludzi z wyższym wykształceniem na stanowiskach, na których z powodzeniem mogą pracować ludzie z średnim wykształceniem i fachowym bibliotekarskim przeszkoleniem jest - zdaniem moim - zjawiskiem co najmniej nie posiadany, które czy prężniej, czy później ujemnie odbije się na pracy kulturalno-oświatowej. To jest najważniejszy problem, który chciałabym zmienić, gdyby to było w mojej mocy. Ale oś, są to tylko myśli w sferze marzeń, a rzeczywistość mówi co innego!